Złote sidła

Nie obcinać!

James Oliver Curwood

Złote sidła

Powieść

Przełożył
Kazimierz Bukowski

[1925]

Wydawnictwo Książek Popularnych Kraków

Druk: Drukarnia Diecezjalna w Opolu — R 35049

SŁOWO WSTĘPNE.

Współczesna Ameryka dała literaturze światowej dwu pisarzy, którzy wspaniałą swą wizję twórczą snują wyłącznie na kanwie przeżytych, widzianych, doznanych przez siebie wydarzeń. Pisarzami tymi, którzy są wyjątkowymi w literaturze świata autentystami, znamy wszyscy — są nimi Jack London i James Oliver Curwood.

London był trampem, włóczęgą, marynarzem, poszukiwaczem złota, dziennikarzem, obieżyświatem, poszukiwaczem wszelakiej przygody — i takimi Londonami są wszyscy jego bohaterzy. Wypadki, które opisuje, krajobraz, który maluje, typy, jakie stawia przed oczyma czytelnika, należą do istotnych, realnych zjawisk opisywanego przezeń świata.

Tak samo czyni Curwood, który jest najbliższy Londonowi. Tak jeden jak drugi umieją w najtwardszych klimatach świata, wśród najdzikszych serc wyczarować subtelne blaski uczucia i poezji. Jeden i drugi zna na wylot przyrodę Dzikiego Zachodu i Dalekiej Północy i serce dzieli pomiędzy ludzi i psy, które są tam, w trudnych tych ziemiach, towarzyszami ludzi i ich przyjaciółmi nieodłącznymi.

Mając przed sobą książkę Londona czy Curwooda wiemy, że przystępując do jej czytania zanurzymy się nie w świat fantazji pisarza, ale w świat przeżytej prawdy, na

której tle wrysowane dopiero będą, więcej czy mniej odbiegające od życia, akcesoria dzieła literackiego.

Tak samo jest i z jedną z najlepszych powieści Curwooda, z utworem, który zyskał mu — jako jeden z pierwszych — sławę światową, ze „Złotymi sidłami". Właściwy jej bohater, członek królewskiej policji, pełniącej niezwykle ciężką i pełną wielkiej przygody służbę w „Northlandzie", jest człowiekiem nie z fantazji Curwooda, lecz z rzeczywistości. Nie trzeba tu podkreślać, że autor „Złotych sideł" jest niepospolitym malarzem tamtejszego krajobrazu i wszystko, co pisze o przyrodzie tych dzikich stron północy, o zjawiskach klimatu, o tamtejszych tubylczych mieszkańcach, jest najszczerszą prawdą, wziętą z własnych obserwacyj. Co roku bowiem przez lat wiele przebywał znakomity pisarz amerykański w tamtych stronach na samotnych wędrówkach, czerpiąc wspaniałe tematy do swych powieści i opowiadań. Przypuszczalnie także i ścigany przez bohatera powieści oszalały człowiek-zwierzę miał jakiegoś sobowtóra, zbliżonego do niego, w realnej rzeczywistości.

Nas jednak interesuje przede wszystkim sam bohater powieści. Otóż słynna Królewska Policja Kanadyjska, pierwotnie zwana Konną, gdyż początki jej organizacji sięgają czasów, gdy poza koniem i psem nie było innych środków komunikacji na bezkresnych śniegowych przestrzeniach Północy, ma w swej kronice nie jeden wypadek tak ciekawy i tak powieściowy, że w całości nadawałby się do wcielenia go na karty książki.

Policja ta działa już 75 lat i obecnie wyposażona jest w samochody, samoloty i broń automatyczną. W londonowsko - curwoodzkich czasach, gdy pisarze ci spędzali swe młode lata na wędrówkach po dalekiej północy, policja ta rozporządzała jedynie końmi i psami zaprzęgo-

wymi. W takich warunkach tropiła ona przestępców wśród tubylczej ludności albo wśród obieżyświatów, którzy w krainach tych przewijali się w różnych, mniej czy więcej podejrzanych celach.

Na dalekiej kanadyjskiej północy członkowie tej policji pełnią równocześnie funkcje sędziów, administratorów, doradców. Kroniki notują wiele czynów bohaterskich, jakie ozdobiły szkarłatne mundury członków tej służby orderami za życia ich, a częściej po śmierci, o ile zdołano odnaleźć ich ciała. Zdarzało się, że idąc tygodniami całymi w pojedynkę śledzili ci najdziwniejsi w świecie policjanci za przestępcą, uciekającym coraz dalej, że staczali pojedynki w samotnych lasach i ujętego odprowadzali znowu całymi tygodniami do najbliższego posterunku.

Niezależnie od normalnych swoich funkcyj, policjanci ci są i podróżnikami i naukowcami. Ostatnio sforsowali oni tak zwany „północno - zachodni przejazd" z Alaski na Grenlandię na małym szkunerze. Straciło w tej podróży pionierskiej, trwającej 27 miesięcy, życie kilku jej uczestników, ale czyn ten pozwolił na wytyczenie stałej trasy komunikacyjnej, która obecnie łączy stałą linią okrętową ujścia rzek Yukonu, Mackenzie i św. Wawrzyńca.

W świadomości, że bohater niniejszej powieści jest typem wziętym z życia razem z charakterystyką jego odwagi, przedsiębiorczości, honoru — lektura „Złotych sideł" nabiera specjalnego kolorytu. Czytelnik z prawdziwym zainteresowaniem odkrywać będzie, przy zagłębianiu się w nią, mistrzostwo pióra Curwooda, który wykrzesał tak barwną i pełną emocji treść z autentycznych postaci, uwypuklonych przez bogatą jego fantazję.

WITOLD ZECHENTER.

I

Bram i jego wilki

Była to, nawet dla „Northlandu", istota mało pospolita, ten Bram Johnson.

Przede wszystkim był on stworzeniem, pochodzącym ze świata, w którym żył, zrodzonym z nieszczęsnych zrządzeń losu, które na nim ciążyły. W pewnych chwilach zdawało się, że jest człowiekiem posiadającym duszę, niekiedy zaś, że jest okropnym potworem, wyplutym przez piekło. Czy istotnie posiadał to, co się zwykło nazywać duszą? Jeśli tak, była ona u niego głęboko ukryta. Zagrzebana była aż do samego serca dzikich lasów i odludnych pustkowi, które ją ukształciły. Ale baczmy, abyśmy w ciągu tego opowiadania nie skrzywdzili Brama nierozważną naganą. Człowiek sądzący swojego bliźniego, winien być zawsze rozsądny.

Chcąc zdać sobie sprawę z tego, kim był Bram Johnson, trzeba cofnąć się w jego genealogii o trzy pokolenia. Spuściwszy pirogę na Jezioro Atabasca i płynąc przez Rzekę Pokoju ku północy, dosięga się Wielkiego Jeziora Niewolników; a potem płynąc wzdłuż rzeki Mackenzie aż do kraju Podbiegunowego, zauważy się, że liczne odmiany etniczne i typy ludzi, zaludniające świat, do którego się dociera, ulegają ogromnym zmianom. Indianin Czippewa, o delikatnym profilu i podłużnej twarzy, o ruchach szybkich

i pirogach silne zakrzywionych, ustępuje miejsca Indianinowi plemienia Cree, którego ruchy są znacznie powolniejsze, policzki szersze, oczy bardziej ukośne, a którego czółno, dziwaczniejsze, sporządzone jest z kory bambusowej. Rasa plemienia Cree nie jest jednorodna i zmienia się w miarę zbliżania się do północy. Każdy nowy szczep różni się od poprzednich tak dalece, że Indianin plemienia Cree podobny jest do Japończyka. Wtedy Indianin Czippewa pojawia się znowu i nanowo zajmuje swoje miejsce. I on zmienia się razem z szerokością geograficzną. W miarę gdy zbliża się do kraju Podbiegunowego, piroga jego staje się „kajakiem" ze skóry, postać jego spłaszcza się, oczy jego świdrują jak u Chińczyka i geografowie nazywają go Eskimosem.

Przodek Johnsona, którego ród kończy się na Bramie, ruszył w drogę przed kilkuset laty z kraju położonego więcej na południe, ku północy. Krew jego dzieci, a potem dzieci jego dzieci, zmieszała się najpierw z krwią Czippewów, a potem Creesów. Stopniowo zmieszała się z krwią Eskimosów. Najciekawsze jest to, że przez te wszystkie małżeństwa etniczne utrzymało się imię Johnson. Ale jeśli, znęceni tym imieniem, weszlibyście do namiotu, w którym chwilowo przebywa Bram, spodziewając się znaleźć tam człowieka białego, zdumielibyście się nie mało na widok nieokreślonego typu, któryby się ukazał waszym oczom.

Przy końcu wiekowych skrzyżowań rasy, Bram Johnson posiadał skórę, włosy i oczy człowieka białego. Co do reszty, należał on do typu fizycznego swojej matki Eskimoski. Ale różnił się od tego typu pod jednym względem. Liczył sześć stóp wysokości.

Był to olbrzym i siłacz. Kości policzkowe wystawały z szerokiej jego twarzy. Usta miał grube, a nos spłaszczony. A mimo to skóra na jego twarzy była biała. I to mogło

wprowadzić w błąd. W miejsce gładkich, czarnych włosów Eskimosów posiadał włosy jasne i rude. Spadały one w nieładzie, gęste i rozczochrane jak grzywa lwa. Oczy jego, o dziwnie błękitnym kolorze, nabierały chwilami, gdy na przykład wpadał w gniew, szarej barwy oczu kocich, lub rozbłyskiwały nagłymi blaskami jak fosforyczne światła w nocy.

Nie widziano u Brama ani towarzysza ani przyjaciela. Okrywała go tajemnica. Nigdy, na żadnym miejscu nie przebywał dłużej, niż to było konieczne do wymiany przyniesionych futer na inne towary. Upływały miesiące i nie widziano go w tym samym miejscu. Błąkał się bezustannie.

Tak czy owak, policja „Royal North West" czuwała nad nim i ścigała go. W licznych raportach, spisanych przez dalekie patrole po powrocie do kwatery głównej, czytać można było następujące słowa: „Widzieliśmy Brama i jego wilki, pędzące ku północy". Albo też: „Bram i jego wilki pognali przed nami". Przez dwa lata policja traciła jego ślady. Było to wówczas, gdy Bram rozbijał się w sercu „Kraju Siarki", na wschód od Jeziora Wielkich Niedźwiedzi. Gdyby go znaleziono, pilnowanoby go czujniej, niż dotąd. Zachowanie się jego było niepokojące. Zdawało się, że coś się pewnego dnia stanie.

I istotnie, to coś nastąpiło. Bram zabił pewnego człowieka. Uczynił to tak zręcznie, człowiek złamał się w jego potężnych rękach jak kij, iż nie miał nawet czasu wydać jęku, ani wezwać pomocy, i Bram był już daleko, kiedy stwierdzono, że jego ofiara nie żyje.

Nastąpiła nowa tragedia. Zaledwie po pięciu dniach.. Kapral Lee wyszedł z fortu Churchill w towarzystwie jednego z swoich ludzi, aby aresztować Brama. Dognali go obaj na granicy Barrenu. Byli jeszcze oddaleni od niego

o ćwierć mili i biegli, aby go schwytać, gdy usłyszeli wybuch głośnego i dziwnego śmiechu. Bram nie oddał do nich ani jednego strzału. Spuścił tylko z liny wilki. Cudem jakimś kapral Lee nie umarł natychmiast. Gdy Bram zniknął, zdołał dowlec się do domu metysa. Umarł tam wkrótce po tym, a metys opowiedział całą historię w forcie Churchilla.

Po tym czynie Bram zniknął zupełnie i nikt go więcej nie zobaczył.

Ach! gdyby okładka jakiejś książki mogła zamknąć wszystkie koleje jego życia, gdyby jej kartki mogły wyrazić całą okropność, którą wycierpiał w przeciągu następnych czterech czy pięciu lat, zapewne wybaczonoby mu wiele. Bram i jego wilki! Czyż te słowa nie wystarczają, aby wzbudzić dreszcz? Pomyślcie, sam! Sam z nimi! Nikt nigdy nie przemówi do niego. Nie może się zbliżyć do żadnego miejsca, aby pogadać z ludźmi. Brat wilków, człowiek-zwierzę. Wilkołak.

Po upływie trzech lat wszystkie wilczury między jego wilkami zniknęły. Pozostały tylko dzikie wilki, prawdziwe. Bram wysortował starannie szczenięta i zatrzymał tylko wilczki czystej krwi, które wyrosły na wspaniałe i groźne zwierzęta. Musiał zabić te młode wilczki, których nie chciał, ponieważ wzbraniały się przyjąć od niego wolność. Instynktownie odczuwały w nim „nadzwierzę" i stały się jego niewolnikami.

On sam lubił je, jak one lubiły jego. Zastępowały mu rodzinę, braci, siostry, żonę i wszystkie istoty ludzkie. Spał z nimi, jadł z nimi i jak one cierpiał z głodu, kiedy brakło pożywienia. Były dla niego towarzyszami i ulubieńcami. Kiedy wyczerpał się zapas mięsa, puszczał swoją sforę na tropy renifera albo łosia, jeśli jakiś znajdował się w jego okolicy. Często w czasie polowania przebiegały kilkadziesiąt mil. Ale on doganiał je szybko i zawsze, kiedy przybywał, zostawało z łupu dosyć mięsa na kościach.

Cztery lata podobnego życia! Policjanci nie chcieli w to uwierzyć. I śmiali się sceptycznie, kiedy wieści z daleka donosiły im, że widziano ciągle Brama żyjącego, że słyszano jego potężny, władczy głos w czasie nocy zimowych, wycia jego sfory i że metysowie, lub Indianie znaleźli również w czterech głównych punktach ślady jego stóp.

Świadkowie ci wikłali jeszcze swoje zeznania niezwykłymi opowiadaniami o „Chasse-Galere", który jest dawnym zabobonem francuskim, wiecznie żywym w Northlandzie, a z którego lud nie lubi żartować. Określa się w ten sposób istoty fantastyczne, które duszę swą sprzedały diabłu w zamian za możność pływania w powietrzu. I bywali ludzie, którzy twierdzili zupełnie stanowczo, a nawet przysięgali na krucyfiks, że widzieli na własne oczy Brama i jego wilki, ścigające przez nieba widmowe kształty wielkich zwierząt.

Słowem policja była przekonana, że Bram nie żyje. A tymczasem Bram unikał wzroku ludzi i coraz bardziej zbliżał się do swoich braci wilków.

A jednak biała krew jest żywym posiewem w żyłach, w których płynie i wzbudzała zawsze w szerokiej piersi Brama gwałtowne pragnienie. Gorsze jeszcze, niż śmierć, pragnienie usłyszenia głosu swoich bliźnich. A mimo to nie kochał nigdy mężczyzny ani kobiety.

Z tej żądzy powstanie groźne przesilenie, które w życie Brama wprowadzi dwie inne istoty ludzkie, mężczyznę i kobietę.

II.

Dziwna zdobycz.

Mężczyzna nazywał się Filip Brant.

Owego wieczora siedział w domu Piotra Breaulta we dwójkę przy stole. Piecyk z blachy żelaznej płonął, rozgrzany do czerwoności. Na dworze zapadła noc.

Piotr, który polował na lisy, zbudował swoją chatę na skraju długiego i cienkiego skrawka niskich świerków, który sterczał w Barrenie. Wiatr szumiał posępnie w pustynnej przestrzeni i przejmował Filipa dreszczem. Niedaleko, ku wschodowi, znajdowała się zatoka Hudsona. Otworzywszy drzwi chaty słyszało się głuchy, nieustanny grzmot podmorskich prądów, walczących z lodami o wolną drogę przez skały, aż do Oceanu Lodowatego. Chwilami huk ten zgłuszał inny, gwałtowniejszy i rozlegający się daleko. Był to huk gór lodowych pękających i rozłamujących się na dwoje, jak gdyby rozcinał je ogromny nóż.

W stronie zachodniej znajdował się natomiast posępny Barren, umarły i bez granic, nie posiadający nic, ani skały, ani zarośli. W ciągu dnia zakrywało go niskie i ciężkie niebo, niebo z szarego granitu, z pasmami purpuru, podobne do tego, które Gustaw Dorę namalował w swoim „Inferno", na sławnym obrazie, który Piotr Breault widział raz niegdyś. I wydawało się zawsze, że to niebo runie na dół w straszliwych lawinach. W ciągu nocy, gdy jęczał wiatr i skomlały białe lisy, było jeszcze posępniej.

— Zaprawdę, jako pragnę dla siebie Raju, przysięgam wam, panie, że widziałem go żywego . . . — powtarzał Piotr, oparty o stół.

Filip Brant, który należał do patrolu, wysłanego z twierdzy Churchilla, przez policję Królewskiego North-Westu, przestał się uśmiechać z powątpiewaniem. Wiedział, że Piotr Breault jest człowiekiem dzielnym, bez tego bowiem nie zdołałby usadowić się w tej chacie zupełnie sam, w sercu Barrenu, aby polować na białe lisy. Wiedział, również, że Piotr nie był zabobonny, jak większość ludzi jego zawodu. Bo krzyki i jęki, które w ciągu nocy są wiecznym zmaganiem się wiatrów, odpędziłyby go daleko od miejsca, w którym się znajdował.

— Przysięgam! — powtórzył Piotr.

Twarz Filipa ożywiła się, a krew, która ją oblała paliła jego policzki. Wyciągnął pięści na stół i zacisnął je nerwowo. Był to mężczyzna trzydziestopięcioletni. Podobnie jak Piotr był wysmukły i dobrze zbudowany. Ale oczy jego o barwie stali były równie jasne, jak Piotra były czarne. Był niegdyś czas, bardzo odległy, gdy nosił odzienie wszystkich cywilizowanych ludzi, w wielkim mieście, w którym żył. Obecnie odziany był w skórę renifera, z wystrzępionymi rękawami, ręce jego były pokryte guzami, a w twarzy jego wiatry i burze wyryły głębokie bruzdy.

— To niemożliwe, — odparł — Bram Johnson nie żyje.

— Żyje, mój panie!

Głos Piotra drgnął dziwnie.

— Gdybym powtarzał panu pogłoski, gdybym go sam nie widział, wtedy mógłby pan wątpić!

Oczy jego błyszczały ponurym ogniem. Podniósł głos i ciągnął dalej:

— Siedziałem tutaj, jak my teraz, gdy usłyszałem ujadanie sfory. Wtedy zbliżyłem się do drzwi i otworzyw-

szy je stanąłem, pragnąc nadsłuchiwać wśród nocy i usiłując coś zobaczyć. Do licha! Nie byli daleko i zbliżali się szybko. Usłyszałem odgłos kopyt renifera na zmarzniętym lodzie. Przebiegł wkrótce, jak huragan, wlokąc za sobą wyjącą sforę wilków, nad którą dominował jeden głos, silny jak głos dziesięciu ludzi. Był to głos Brama Johnsona, polującego na mięso. M o n D i e u! tak oto było. On żyje. I to nie wszystko. Nie, nie, to nie wszystko.

Wykręcił palce, zacisnąwszy je jedne za drugie. Po raz trzeci lub czwarty od kwadransa Filip widział, jak próbował zdławić w sobie silne wzruszenie. Opuściło go niedowierzanie w stosunku do niego i począł wierzyć poważnie w słowa Piotra.

— A potem? — zapytał. – Widzieliście go jeszcze?

— Tak, – odparł Piotr. — I to zupełnie blisko. Nie chciałbym uczynić tego po raz drugi za wszystkie lisy, żyjące między Jeziorem Atabasca, a zatoką Hudsona. Działałem pod wpływem jakiegoś szału. Jakaś halucynacja wypchała mnie na dwór, w noc. Szedłem za diabelskim orszakiem. Maszerowałem w śniegu za śladami, pozostawionymi przez łapy wilków i narty człowieka. Tak, szedłem. Przybyłem do końca śladów i usłyszałem kłapanie szczęk zwierzęcych, rozdzierających mięso, tak, tak, i dziki śmiech ludzki, zmieszany z tym hałasem. Na szczęście wiatr dął na mnie i ta sfora przeklętych dusz nie mogła zwąchać mojego zapachu i mojej obecności. Ale gdyby wiatr jął dąć w przeciwną stronę, coby się ze mną stało, t o n n e r e d e D i e u!

Dreszcz przejął ponownie Piotra Breaulta. Ściskał i rozluźniał palce, aż trzaskały w stawach.

— A jednak, panie, zostałem, zagrzebany do połowy pod nawałnicą śniegu. Po długiej chwili człowiek i wilki oddalili się. Zbliżyłem się do zabitej zwierzyny. Był to



Otaczały go wilki, oświetlone blaskiem ognia, niemal przytulone do niego.

renifer, samiec wielki i ciężki i skonstatowałem, że zabrano całą tylną część kadłuba. Po jego śladach poszedłem dalej, ponieważ noc była tak ciemna, iż na dziesięć kroków nie widziałem nic przed sobą. Ślad ten zaprowadził mnie na skraj lasu. Tutaj Bram osobiście rozpalił ognisko. Mogłem się mu przypatrywać dowolnie i na Boga, poznałem go dobrze. Przed zbrodnią był dwa razy w mojej chacie. Rysy jego nie zmieniły się. Otaczały go wilki, oświetlone blaskiem ognia, niemal przytulone do niego. Widziałem, jak je głaskał, widziałem ich błyszczące kły i słyszałem szelest ich ciał, ocierających się o siebie. Przemawiał do nich, a mówiąc, śmiał się na całe gardło. Wtedy dopiero otrzeźwiałem nagle. Odwróciłem się i całym pędem jąłem biec w kierunku mojej chaty. Biegłem tak szybko, że nawet wilki nie zdołałyby mnie dopędzić... I to nie wszystko jeszcze!

Palce Piotra jęły się zaciskać rozkurczać i trzaskać, gdy wpatrywał się w Branta.

— Wierzy mi pan?

Filip potrząsnął głową.

— W zasadzie wydaje mi się to niemożliwe. A jednak nie mogłeś chyba śnić, Piotrze.

Piotr Breault odetchnął silnie, jako znak zadowolenia, i podniósł się do połowy na nogach.

— A uwierzy mi pan, gdy mu opowiem resztę?

— Tak.

Poszedł do pokoju, w którym spał i wrócił wkrótce z małym woreczkiem ze skóry renifera, gdzie chował zwyczajnie swoje krzesiwo, krzemień i inne drobne przybory, służące do rozniecania ognia w czasie polowania.

— Następnego dnia, — jął mówić dalej, usiadłszy naprzeciw Filipa, —wróciłem, panie, tam gdzie widziałem Brama. On i wilki odeszli.

Resztę nocy przespałem pod gałęziami świerków. Potem ruszyłem ponownie w drogę. Par les milles cornes du diable! możnaby rzec, że śnieg został zmieciony z jego drogi. Tak szerokie były ślady mokassimów, w które odziane były jego potworne nogi. Zmieszane były przy tym ze śladami łap wilczych. Szukałem wszędzie dokoła siebie, chcąc znaleźć jakiś przedmiot, którego mógł zapomnieć. I wkońcu znalazłem oto to.

Spojrzenie Piotra, jeszcze bardziej, niż ruch jego długich, delikatnych palcow, roztwierających mały woreczek ze skóry renifera, podrażniło nerwową ciekawość Filipa. Czekał, nie wymówiwszy ani słowa.

— Oto panie co znalazłem — rzekł Piotr. — Są to sidła na króliki, które musiały wypaść na śnieg z jego kieszeni.

I podał je Filipowi.

Lampa oliwna, zawieszona u stropu chaty, oświetlała stół, stojący między nimi. Filip wpatrywał się przez chwilę w sidła, poczem wydał okrzyk zdumienia.

Piotr zerwał się. Początkowo można było nie ufać mu. Ale teraz tryumfował i postać jego promieniała radością. A Filip przestał niemal oddychać. Z uwagą, napiętą do ostatecznych granic, wpatrywał się w tajemniczy przedmiot, który w świetle lampy błyszczał w jego ręce. Nie było żadnej wątpliwości. Przedmiot ten był długi około na metr, z przedziwnym „kółkiem czippewajskim" na jednym końcu, a z węzłem na drugim. Jak dotąd, nic ciekawego.

Ale sidła te były sporządzone z jasnych włosów kobiety!

III.

Bram decyduje się.

Zdarza się pod wpływem gwałtownych wrażeń, że umysł, nie rozważając wiele, zdąża prosto do stanowczej decyzji, tym szybciej, im gwałtowniejsze było wrażenie.

Po owym pierwszym okrzyku zdumienia, który wydarł się z piersi, Filip Brant zamilkł. Nie mówił nic do Piotra. Wiatr dmący nad chatą, ucichł naraz i tykanie zegarka Filipa wydawało się w ciszy bębnieniem małego bębenka. Oczy jego oderwały się zwolna od jedwabnych nitek, które trzymał w ręce i spotkały się ze wzrokiem Piotra.

Widocznie ta sama myśl powstała w nich obu. Gdyby włosy te były czarne . . . Gdyby były brunatne . . . Gdyby miały prostą barwę rudą, jak u Eskimosów z dolnego Mackenzie . . . Ale nie, one podobne były do złota z kruszcu!

Ciągle milcząc Filip wyjął z kieszeni nóż i odciął jeden z włosów powyżej drugiego węzła. Błyszczący warkocz potoczył się po stole, kręty jak wąż. Złoto jego nie było czerwone, z ciemnym lub miedzianym połyskiem. Było to złoto jasne, jakiego Filip jeszcze dotąd nie widział. I podziwiał przedziwną cierpliwość, z jaką upleciono te sidła.

Spojrzał znów na Piotra.

— A więc dowodzi to, — rzekł Piotr, — że Bram ma przy sobie kobietę . . .

— Bezwątpienia, — odparł Filip. — Kobietę żywą, lub . . .

Nie dokończył. Obaj mężczyźni zrozumieli się. Dręczyło ich lękiem to samo okropne pytanie. Piotr wzruszył tylko ramionami. Cóż można było odpowiedzieć na to pytanie? I kiedy poryw wiatru wstrząsnął drzwiami chaty, jak gdyby ręką ludzką, drgnął.

— D i a b l e ! — zawołał, opanowawszy się i odsłoniwszy swoje białe zęby w uśmiechu. — Zdenerwowała mnie cała ta historia. Bram i jego wilki w świetle ognia, potem ten dziwny przedmiot . . .

Opuścił oczy ku błyszczącemu warkoczowi.

— Namyśl się, Piotrze, — rzekł Filip. — Czy widziałeś już włosy o podobnym kolorze?

— Nie, panie. Nigdy w życiu. Ani razu.

A jednak spotykałeś niektóre białe kobiety w twierdzy Churchilla, w Yorku Factory, w „Lac de la Biche", w Cumberland House, w Norway House i w twierdzy Albary.

— Ach! ach! ach! i w wielu innych miejscach, panie. Nad Jeziorem Boga, nad „Lac Seul" i w stronach Makenzie. Ale nigdy jeszcze nie widziałem włosów kobiecych tego koloru.

— I jak wiemy, Bram nie zapuszczał się nigdy na południe, nie dalej, jak do twierdzy Czippewyan. Wszystko to jest niewytłumaczone, nieprawdaż Piotrze? No mówże. O czym ty myślisz?

Piotr łączył w sobie krew francuską i indyjską Creesów. Źrenica jego oczu rozszerzyła się dziwnie pod wpływem spojrzenia Filipa.

— Myślę,—odparł z zakłopotaną miną, — o „Chasse-Galere", o „Wilkołaku" i . . . i . . . i . . . pan stawia tak przyjemne pytania, że muszę w nie uwierzyć. Nie

jestem zabobonny, non, non, non! Nie jestem zabobonny . . .

Twarz jego przybierała wyraz coraz większego zakłopotania, a głos jego gmatwał się jeszcze bardziej.

— Ale, cóż pan chce, o Bramie i jego wilkach opowiadają tak oszałamiające historie. Mówią, że sprzedał swoją duszę diabłu, wzamian za to może latać w powietrzu kiedy chce i zmieniać się w wilka. Niektórzy słyszeli, jak śpiewał „Chanson du Voyageur" (Pieśń podróżnika), na całe gardło, przy akompaniamencie ujadania swojej sfory. Słyszałem to wprost od świadków. Spotkałem raz całe plemię indyjskie, które odprawiało różne zaklęcia, ponieważ zobaczyło Brama, otoczonego wilkami, jak budował sobie zaczarowany dom wśród śniegu, ciskającego błyskawice i grzmoty. W takim razie nie jest dziwne, że poluje na króliki zapomocą sideł sporządzonych z włosów kobiety.

— Tym mniej więc dziwne, — odparł Filip, — że zmienia czarne włosy na włosy koloru słońca!

— Czy to wszystko prawda, co mówią? Któż wie?

Piotr wykręcał swój język w ustach, jak gdyby połknął kawałek dławiącego go chleba. Filip widział, jak przez chwilę zmagał się z sobą i walczył przeciw starym, drzemiącym w nim przesądom, które zapaliły się nagle jak szczypta prochu. Ale potem zacisnął zęby, wyprostował się i odrzucił w tył głowę:

— Są to bajeczki do snu, mój panie! — rzekł pokonując drżenie swojego głosu.—Oto dlaczego pokazałem panu te sidła. Bram Johnson nie umarł. Żyje. A z nim jest kobieta, chyba, że . . .

— Tak, chyba że . . .

I ta sama myśl, która ich raz już nawiedziła, zabłysła ponownie w ich spojrzeniu, zanim odważyli się ją wypowiedzieć.

Filip owinął starannie dokoła swojego palca wskazującego warkocz i wetknął go potem do woreczka skórzanego, który wyjął z kieszeni. Potem zupełnie naturalnie nałożył sobie fajkę i zapalił. Zbliżył się do drzwi, otworzył je i stał w nich przez chwilę, przysłuchując się dzikiemu wyciu wiatru na Barrenie. Piotr siedział ciągle przy stole i obserwował go uważnie.

Piotr zamknął drzwi i usiadł z powrotem naprzeciw metysa. Powziął już postanowienie.

— Stąd do twierdzy Churchilla jest trzysta mil, — rzekł. — W połowie drogi, na dolnej kończynie Jeziora Jezus, Mac Veigh i jego patrol założyli główną kwaterę. Jeśli udam się w pościg za Bramem, raport ode mnie musi dojść do Mac Veigha a stamtąd do fortu Churchilla. Czy nie możesz, Piotrze, zostawić swoje przynęty na ryby i łapki na lisy i zanieść mój raport?

Piotr zawahał się, potem odparł:

— Zaniosę go.

Aż do późnej godziny w nocy Filip zajęty był pisaniem swojego raportu. Wysłano go z poleceniem ścigania jakiejś bandy złodziei indyjskich. Równie ważna sprawa zatrzymała go w drodze i zawiadamiał o całej przygodzie inspektora Fitzgeralda, dowodzącego oddziałem fortu Churchilla. Opowiedział to, co mu powiedział Piotr Breault i podał poważne dowody na poparcie swoich słów. Bram Johnson, trzykrotny morderca, żył. Zakończył, żądając, aby na jego miejsce wysłano innego w celu ścigania Indian i objaśnił, możliwie najdokładniej, kierunek, w którym uda się w pościgu za Bramem.

Ukończywszy raport, włożył go do koperty. Raport był zupełny, prócz jednej rzeczy.

Filip nie wspominał ani słowem o sidłach i o złotych włosach.

IV.

Ósma noc.

Nazajutrz rano burza szalała jeszcze nad Barrenem. Filip ruszył jednak w drogę z Piotrem Breaultem jako przewodnikiem, ku miejscu, gdzie metys widział Brama Johnsona, biwakującego z swoimi wilkami. Od tej nocy upłynęły trzy dni i kiedy przybyli do świerka, który służył Bramowi za schronienie w czasie snu, drzewo było zasypane twardym śniegiem, który wiatr przywiał z pustyni.

Od owego miejsca Piotr wskazał dokładnie Filipowi kierunek, w którym odszedł nazajutrz rano Bram. Filip wyjął swoją busolę i ustawił igłę w kierunku niewidocznego obecnie śladu. Wniosek był dla niego jasny.

— Bram, — rzekł do Piotra, — przebywa nieustannie na zalesionej granicy Barrenu. Udam się w tym kierunku. Możesz to dodać do tego, co napisałem już do Mac Veigha. Ale o sidłach, ani słowa, Piotrze. Tak będzie lepiej, rozumiesz. Jeśli Bram jest naprawdę „Wilkołakiem" i jeśli tka złote włosy na wietrze . . .

— Nie powiem nic, panie, — rzekł Piotr i drgnał.

Uścisnęli sobie dłonie i rozstali się w milczeniu. Filip zwrócił się ku wschodowi i odwróciwszy się niebawem, nie ujrzał już Piotra.

Zaledwie upłynęła godzina, gdy ogarnęło go przygnębienie, myśl, że rzucił się dobrowolnie w niebezpie-

czeństwo wprost rozpaczliwe. Sanki swoje i psy pozostawił Piotrowi, sam zaś podróżował lekko objuczony. W jego plecaku, który ważył zaledwie czterdzieści funtów, ułożonym wygodnie na plecach, zwinięty był jedwabny namiot, ważący trzy funty i mogący się oprzeć najgwałtowniejszym wiatrom. Różne przybory kuchenne ważyły ledwie jeden funt. Reszta jego ekwipunku składała się z piętnastu funtów mąki, a dla stałego pobytu z umiejętnie ułożonych porcyj, częściowo sproszkowanych, częściowo w suszonych tabliczkach: czterdzieści jaj w jednym funcie proszku jajowego, dwadzieścia ośm ziemniaków suszonych w czterech funtach, cztery funty cebuli w ćwierci funta suszonego artykułu i tak dalej. Dodawszy do tego zwierzynę, którą mógł upolować, żywność ta wystarczała na miesiąc. Podobnie jak broń, strzelba, rewolwer Colta i zapas amunicji.

Pomyślawszy o tej żywności, prostej ale tak cennej, zamkniętej w jego torbie na plecach, jął się śmiać jakimś sardonicznym śmiechem. Przyszła mu do głowy równocześnie inna myśl, o przeszłych dniach swojego życia. Cóżby powiedzieli jego starzy przyjaciele, gdyby tak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej znaleźli się wszyscy koło niego, aby uczestniczyć w jego radości? A szczególniej, cóżby powiedziała Mignon Davenport i coby uczyniła? Pfff! Widział już odrazę, przejmującą jej arystokratyczną twarz. Ów wiatr, świszczący po Barrenie, zmroziłby życie w żyłach młodej kobiety, która spiesznie skurczyłaby swoje ciało i umarła. Znał ją dobrze, bo mieli się nawet niegdyś pobrać.

Dziwna to rzecz, że mógł teraz jeszcze myśleć o niej, tropiąc tajemniczy ślad Brama. Ale mógł też odrazu odpędzić od siebie tę myśl. Bardzo możliwe jednak, że podobnie jak jego starzy przyjaciele, nie zapomniała o nim. Miłość i przyjaźń nie są wprawdzie trwałe w świecie

ludzkim. Mignon sama przekonała go o tym. Wykrzywił pogardliwie twarz i wśród palących ukąszeń wiatru jął się śmiać szyderczo.

Los jest starym wesołkiem. On, Filip, odegrał wobec wszystkich doskonałą komedię! Najpierw lekkie zapalenie płuc, potem płuca jego zaczęły grać. I wystąpiły suchoty galopujące, czy coś podobnego, choroba ściągająca twarz i wysysająca krew z żył. Wtedy w wielkich, błękitnych oczach Mignon odbijało się przerażenie, rosnące z dnia na dzień. Trwało to aż do chwili, gdy z naiwnością dziecinną przyszła do niego i oświadczyła, że jest jej niesłychanie przykro oznajmić swoim przyjaciołom, iż jest narzeczoną suchotnika.

Na owo wspomnienie Filip wybuchnął śmiechem. I śmiech jego rozbrzmiał tak głośno, że nawet mimo wycia wiatru Bram mógłby go usłyszeć na sto jardów odległości. Suchotnik! Filip założył ramiona i naprężył twarde muskuły, aż trzasły. Wciągnął głęboko w płuca mroźne powietrze; potem wyrzucił je z piersi jak klapa maszyny ciepłą parę. Tak podziałała na niego północ; północ ze swoimi cudownymi lasami, rzekami, jeziorami i zaspami śnieżnymi; północ, odradzająca człowieka. Dlatego kochał tę północ która go uratowała. A ponieważ ją kochał, podobnie jak przygody, wstąpił przed dwoma laty do policji. Kiedyś wróci do kraju, aby się zabawić. Pokaże się wtedy w klubach swoim dawnym przyjaciołom i na sam widok jego zdrowia Mignon umrze ze złości, Mignon z oczyma dziecka.

Myśl jego, oddawszy się przez chwilę tym rozmyślaniom, wróciła do zagadkowego człowieka, którego ścigał. W ciągu tych dwu lat służby zebrał wiele wiadomości o Bramie, poznał wszystkie okoliczności, towarzyszące życiu Johnsona.

Indianie i metysi uważali Brama za pewnego rodzaju potwora, za czarodzieja, który posiada władzę szatana. Po-

licja widziała w nim bardzo niebezpiecznego mordercę, który grasował po całym Northlandzie. Myślała tylko o tym, by go schwytać, a ów szczęśliwy człowiek, któryby go uwięził żywego lub umarłego, mógł być pewnym awansu i mianowania w stopniu sierżanta. Ta ambicja i nadzieja powodzenia zapaliły niejedno dzielne serce aż do chwili, gdy ogólnie sądzono, że Bram nie żyje.

Filip rozprawiał często z swoimi kolegami o mniejszej lub większej inteligencji i złośliwości Brama, a pobłażliwość jego w kwestii wyklętego zbrodniarza nie przekonała nikogo.

Nie była to tylko chęć zdobycia stopnia sierżanta, która go w tej chwili gnała ku granicy Barrenu. Służba jego w policji kończyła się niebawem i miał inne plany na przyszłość. Działała w nim inna siła wewnętrzna.

Od chwili, gdy trzymał w ręce warkocz ze złotych włosów, przenikała go ciekawość, budziły się w nim nowe uczucia, których początkowo nie mógł zrozumieć, a których nie zdradził wczoraj Piotrowi Breault. Myśli te nabierały teraz kształtów. Nie był teraz myśliwym, który poluje na ludzi, zimnym kombinatorem, czyhającym na śmierć i życie innego człowieka. Nie zapomniał o tym, że obowiązkiem jego jest schwytać Brama i przywieźć go jako więźnia do Kwatery Głównej, i gotów był to wypełnić, chyba że... Złote sidła były tym nieznanym, które wchodziło teraz na drogę jego postępowania. Sprawy przestały być teraz takie proste.

Chwilami myślał, że to on je może komplikował, z przyjemności, czy też przez swoją imaginację. Owe włosy mógł Bram zdobyć tysiącznymi sposobami. Czy owe rzekome sidła nie były poprostu czymś w rodzaju amuletu, który Bram nosił od wielu lat, talizmanem, chroniącym go od choroby i diabła, stosownie do jego zabobonnej duszy?

Rozgniewany na siebie Filip nie chciał uwierzyć, że tak może być! I kiedy w południe zatrzymał się, aby rozniecić małe ognisko i zagrzać przy nim herbatę, wyjął z portfelu złoty warkocz, aby go oglądnąć dokładniej i bliżej niż wczoraj.

O nie! Nie było żadnej wątpliwości. Odcięto go poprostu z głowy kobiety. Gdyby nie, czyżby był tak delikatny i błyszczący w bladym świetle słońca? Podziwiał długość i subtelność włosów i cudowną budowę każdego włoska, jednolitego i równej długości.

Zjadł śniadanie i ruszył w drogę. Trzy dni burzy zatarły zupełnie wszelki ślad pozostawiony przez Brama i jego wilki. Mimo to Filip był przekonany, że Bram nie oddalił się z Barrenu, z Wielkiego Barrenu północnego, nieoznaczonego na mapie, oceanu śnieżnego gdzie, oddawna ukrywał się przed prawem. Wielka biała pustynia, szeroka na pięćset mil, od zachodu ku wschodowi, pod sześćdziesiątym prawie stopniem, była dla niego i dla jego włóczęgi tym czym Ocean Spokojny dla dawnych korsarzy. Owe okropne pustki, na których myśl dreszcz przenikał Filipa, były gorsze niż okolice polarne. To co przedsięwziął, było niesłychanie trudne. Jedyna nadzieja powodzenia opierała się na tym, że nastąpi pogoda i że natrafi na mniej lub więcej świeży ślad, pozostawiony przez Brama, łączący się z innym, bardziej wyraźnym.

Filip postanowił również nie zbaczać z granicy lasu, gdzie Bram urządził już sobie schronisko i gdzie bez wątpienia nie omieszka wrócić. Gdyby zaś poszedł zupełnie prosto, w nieskończoną biel, ileż dni i tygodni mogło upłynąć, zanim natrafiłby na jego ślady?

W ciągu następnej nocy, burza, która szalała przez kilka dni ucichła i przez cały tydzień była pogoda. Zimno było dokuczliwe, ale śnieg nie padał. W czasie tych ośmiu nocy, gdy siedział w namiocie przed ogniskiem, zajęty po raz setny rozplątywaniem złotego warkocza, nastąpiło nieoczekiwane wydarzenie.

V.

Spotkanie.

Noc była tak jasna, że wielkie cienie, rzucane przez świerki na śnieg, wydawały się żywe. Niebo nad głową, równie przeźroczyste jak pełne morze, zasłane było tysiącem gwiazd, a Wielka Niedźwiedzica błyszczała jakby konstelacja małych słońc. Świat mógł się obejść bez światła księżyca. W odległości trzystu jardów Filip mógł ujrzeć kroczącego renifera.

Grzał się więc przy ognisku i czuwał, splatając jedwabne nitki. Zagłębiony w swojej pracy, słuchał z roztargnieniem „muzyki nieba", tej dziwnej i fantastycznej harmonii, którą rozdźwięcza jutrznia polarna, dając znać o świcie. Był to raz przenikliwy świst, to znów słodki szept, dosyć podobny do mruczenia kota, a chwilami znów coś podobnego do metalicznego brzęczenia pszczoły.

Kiedy się to skończyło i kiedy schował starannie złote sidła do swojej kieszeni, Filip wyprostował się nagle i nadstawił uszu.

Z dźwiękami, płynącymi z nieba, mieszały się i inne. W jednej chwili zerwał się na nogi, a potem pognał przez krzaki aż na skraj białej płaszczyzny, o kilka jardów od ogniska.

Dźwięk dochodził z odlegości dosyć znacznej, prawie mili, a może dwu. Było to wycie wilków.

W ciągu tych dwu ostatnich lat Filip słyszał je już niezliczoną ilość razy. Ale jeszcze nigdy nie wstrząsnęło nim tak gwałtownie. Wsłuchał się cały w ów dźwięk i krew jęła silniej krążyć w jego żyłach. Chwila przebłysku i przypomniał sobie, co mu opowiadał Piotr Breault. To polował Bram ze swoją sforą. Bram przybywał. Co do tego nie było żadnej wątpliwości.

Wrócił spiesznie do swojego namiotu i przy ostatnim płomyku ognia zagrzał zmarzniętą kolbę swojej strzelby. Potem stłumił ogień przy pomocy śniegu i przydeptał nogami. Wróciwszy następnie na skraj lasku, stanął pod najwyższym świerkiem, jaki znalazł, gotów w razie niebezpieczeństwa wspiąć się na niego, aby szukać na nim schronienia.

Niebezpieczeństwo nie dało długo czekać na siebie. Przybywało jak huragan. Sfora, prowadzona przez człowieka-wilka, gnała prosto w jego stronę. Nie była dalej jak o dwieście lub trzysta kroków, gdy Filip wdrapał się na drzewo. Kiedy wspinał się na pień drzewa, na wysokość dwunastu stóp, sapał, a w jego piersiach serce bębniło jak dobosz. Świerk, nie grubszy od jego ramienia, był dla niego słabym schronieniem. Przypomniał sobie dzień, w którym wydarzyło mu się, że zawiesił kilkadziesiąt funtów łosia na cedrach, grubych jak jego noga. Przyszły wilki następnej nocy i zżarły pnie drzew jak źdźbło słomy!

Usadowiwszy się na swojej gałęzi Filip zatopił wzrok w Barrenie, oświetlonym przez gwiazdy.

Wilki ucichły, co oznaczało, że polowanie dobiegało do końca. Słychać było tylko szybkie „szig, szig, szig" kopyt ściganego renifera, łamiących w swoim galopie lekką powłokę twardego śniegu. Pojawiła się sylwetka zwierzęcia, które uciekało, aby uratować swoje życie. Na szczęście dla Filipa, renifer, ścigany zbliska przez wilki, które w licz-

bie dwudziestu lub może trzydziestu, rozprószyły się w kształcie wachlarza, biegł teraz równolegle do lasu, podczas gdy sfora próbowała zagrodzić mu drogę. Czarne kształty przebiegły jak orkan, ziejące paszcze podobne do cieni, pędzonych przez wiatr.

Z niewygodnego miejsca, w którym się znajdował, Filip zeszedł na dół, aby przykucnąć na śniegu. Kombinował, że renifer miał jeszcze dobrą milę do przebycia, zanim uczuje się wolny, Ukryty w cieniu świerka obserwował nieustannie, pewny, że wkrótce ujrzy Brama.

Typowe „zyp, zyp, zyp" bucików na łyżwach rozległo się też niebawem. Wtedy to krew Filipa jęła wygrywać diabelski koncert. Człowiek, którego ścigał, zjawi się tutaj lada chwila. W krótkiej przerwie, w której obserwował bieg wilków, ułożył sobie plan postępowania. Los przyszedł mu z pomocą. Skomplikowana strategia, która w innych okolicznościach byłaby konieczna, aby schwytać Brama, nieosiągalnego wśród zażartej straży swoich wilków, gotowych do rzucenia się na napastnika na najlżejszy znak swego pana, uprościła się. Podczas gdy sfora była zajęta łupem, Bram był sam i on uwięzi go.

Filip ukląkł powoli, a potem wstał, ciągle zakryty cieniem świerka. Odłożył strzelbę. W prawej ręce, z której ściągnął rękawicę, trzymał rewolwer. Przenikając oczyma półmrok nocny, czekał, aż Bram pojawi się na tropie wilków.

Ale dźwięk i wzrok mylą na Barrenie. Wtedy, kiedy szukał Brama na białej płaszczyźnie, Bram zjawił się nagle tu, o dwadzieścia zaledwie kroków. Filip stanął, jakby rażony piorunem.

Zdławił okrzyk, który wydzierał się z jego ust i w tej samej chwili Bram stanął wyprostowany i wyniosły w świetle gwiazd, wyrzucając i wdychując powietrze

szerokimi piersiami, potężnym rytmem, nadstawiając równocześnie uszu w kierunku swoich wilków.

Był to istotnie olbrzym, fenomen ludzki. Może niepewne światło nocy powiększało jeszcze jego postać. Na jego plecy spadały rozczochrane włosy, dosyć podobne do kępki wodorostu morskiego. Broda jego była gęsta i krótka, a w błyszczących jego oczach, podobnych do oczu kota, ujrzał Filip jakby krótki przebłysk, refleks gwiazd. Co do wyrazu twarzy, to podobna ona była do twarzy istoty półzwierzęcej i półludzkiej. Nigdy odtąd nie zapomniałby Filip, co było w tej twarzy brutalnego i niepohamowanego, tej rozpaczy w samotnej duszy, odgraniczonej od ludzkości, gorącego i niespokojnego płomienia w jego spojrzeniu.

Nadszedł czas działania. Palce Filipa ścisnęły silniej kolbę rewolweru i na kilka kroków wysunął się z cienia.

W tej chwili Bram mógł go zobaczyć, gdyby nie odrzucił nagle w tył swojej wielkiej głowy, aby wydobyć stłumiony krzyk, który trysnął ku niebu z jego gardła i piersi. Był to najpierw jakby huk grzmotu, zakończony przejmującym i żałosnym jęczeniem, lecącym milami po gładkiej równinie. Nigdy jeszcze Filip nie słyszał takiego krzyku ludzkiego czy zwierzęcego. Było to nawoływanie sfory przez pana, wezwanie człowieka-zwierzęcia do swoich braci.

Nagle krzyk urwał się i zgasł, podobnie jak urywa się nagle gwizd syreny okrętowej. Może jakiś nadinstynkt ostrzegł gwałtownie Brama Johnsona, że zagraża mu nieznane niebezpieczeństwo. Stało się tak, że zanim Filip mógł porwać się do działania, Bram zniknał z jego oczu, uniesiony nagle w świetle gwiazd przez szerokie narty, rozszarpujące pod nim śnieg. I równocześnie krzyk wydany przez niego ustąpił miejsca temu dziwnemu i obłą-

kanemu śmiechowi, który w Piotrze Breault wywołał dreszcz grozy.

Nie ruszając się z swojego miejsca Filip zawołał: — Bramie! Bramie Johnson! Stój w imieniu Króla!

Była to odwieczna formuła, prorocze słowa, które niosły z sobą przez Northland majestat i potęgę Prawa.

Bram usłyszał, ale nie zatrzymał się. Przeciwnie, gnał jeszcze szybciej. Filip zawołał go znów po imieniu:

— Bramie! Bramie Johnson!

Jako jedyna odpowiedź doleciał do jego uszu szyderczy śmiech, dziki i zgłuszony, jak naigrawanie się.

Filip podniół rewolwer. Nie celując nawet dokładnie, strzelił dwa razy w kierunku uciekającego. Kule przeszły tak blisko obok głowy Brama, że usłyszał ich świst.

— Bramie! Bramie Johnson! — krzyknął Filip po raz trzeci.

Było to bezużyteczne. Opuścił ramię i wpatrzył się w wielką sylwetkę, która stała się teraz cieniem, znikającym w ciemnościach, gdzie rozwiała się zupełnie.

Jeszcze raz Filip znalazł się pod gwiaździstym niebem, otoczony światem nicości. I naraz uprzytomnił sobie swój szalony czyn. Zachował się jak dziecko. Gdy wołał Brama, głos jego drżał tak silnie, że Bram zaśmiał się z niego. A teraz bezwątpienia zapłaci za swój brak energii w działaniu. Czyż Bram nie wróci na jego trop z wilkami?

Tętna Filipa jęły bić żywiej, gdy zaczął oglądać pustą przestrzeń, w której zniknął Bram. Czując zimno w plecach wrócił do krzaków, gdzie urządził sobie ognisko i jął myśleć o losie kaprala Lee i o jego towarzyszu. Czyż skończy tak jak oni? Czyż jego niepohamowana lekkomyślność nie doprowadzi do tego samego wyniku?

Ważył teraz w umyśle dobre i złe szanse, które mu pozostały. W jego żyłach płynęła dobra, czerwona krew, a człowiekowi nie wolno nigdy rozpaczać. Przez kilka chwil stał obok ostatnich płomyków swojego ogniska, które rozbłysnęło jeszcze raz ku górze i upadło popiołem na jego duszę.

Zapewne, nie lękał się Brama. Chociaż nawet Bram był kolosem, rozpocząłby z nim natychmiast walkę. I ściskał nerwowo swój rewolwer, gładził palcami kolbę. Ale walkę trzeba było stoczyć nie z Bramem, lecz z jego wilkami. Bram wypuści sforę, nie pokazując się i zadowalając się szyderczym śmiechem, aby go podrażnić. Tak uczynił z kapralem Lee. Teraz, kiedy go Filip przejrzał, kiedy odkrył wyraźnie jego zamiary, czyżby Bram był tak głupi i nie pragnął pozbyć się z miejsca swego nieprzyjaciela?

Naraz przyszła mu do płowy pewna myśl. Bram, tak jak go widział, nie był uzbrojony! A więc nabrał otuchy i nadziei. Wdrapawszy się na drzewo mógł stoczyć bitwę z całą sforą i zabić po kolei wszystkie wilki. On pozostawał zwycięzcą z swoim rewolwerem, ze swoją strzelbą, z obfitą żywnością i amunicją. Ważne było tylko to, czy Bram naprawdę nie posiada strzelby. Bo inaczej . . .

Filip chwycił ciepłe futro, które przed chwilą rzucił koło ognia i wdział je. Napełnił jego kieszenie amunicją i zbliżywszy się do skraju Barrenu, ogarnął spojrzeniem zamglony i mocny świerk, stojący na uboczu. Było to znakomite miejsce obserwacyjne, wymarzone do zniszczenia sfory wilków. Jeśli zaś Bram posiada strzelbę, będzie dla niego łatwym celem. Słowem, był to jedyny sposób zwyciężenia go.

VI.

W którym upolowano myśliwego.

Filip czekał.

Spojrzał na zegarek i skonstatował, że czekał już przeszło godzinę i że była już prawie północ. Za najmniejszym odgłosem, dolatującym z Barrenu lub krzyków z lasku doznawał fizycznego i moralnego wstrząsu. Był przekonany, że Bram i jego sfora zbliżają się w milczeniu, że nie usłyszy ani szelestu kroków ludzkich ani delikatnego stąpania łap wilczych, chyba w chwili, gdy będą już koło niego.

Dwukrotnie już wielka biała sowa nocna rozpościerała skrzydła nad jego głową. Po raz trzeci ptak spadł na białego zająca, ukrytego w krzakach. I za każdym razem Filip sądził, że nadeszła już decydująca chwila. To znów straszyły go małe, białe lisy, które przebiegały tu i tam, ciekawe jak małe dzieci. Kilkakrotnie zmusiły go do tego, że wdrapał się nieco wyżej na drzewo, czując na plecach szpony trwogi. Potem nastąpiła reakcja i nerwy Filipa osłabły. Puls jego bił spokojniej.

Czy uniknie losu, który sobie zgotował? Czy jego strzały rewolwerowe przeraziły Brama do tego stopnia, iż nie wróci już na jego trop? Teraz wydawał mu się Bram istotą mniej dziką, niż pierwej. Na twarzy jego dojrzał rozpacz i zmieszanie. Ten potwór wydał mu się nawet sympatyczny,

Bez wątpienia, był on podobny do owego Pelletiera, nieszczęśliwego rozbitka, który porzucony na pustynnych brzegach Oceanu Lodowatego, wyrył na drzwiach swojej chały dzieje swojego życia, swoje wrażenia i myśli. Świadome szaleństwo, gorsze od czystego szału. Inteligencja i rozum, które zabiła samotność. Dla Pelletiera śmierć przyszła pewnego dnia jak wyzwolenie, jak przyjaciółka. Zapewne Bram, umarły od lat dla społeczeństwa ludzkiego, był umarłym naprawdę.

Złote sidła i jego tajemnica jęły znów niepokoić umysł Filipa. Nie, ten jedwabny i błyszczący warkocz, który nosił w kieszeni, nie mógł pochodzić z dawnej zamiany. Było to zupełnie jasne! Z pewnością został odcięty z włosów kobiety. A zatem Bram nie był sam! Była z nim kobieta. I to kobieta z tak pięknymi włosami!

Filip zlazł z drzewa.

Przez następną godzinę badał wszerz i wzdłuż horyzont Barrenu. Słuchając pilnie rozpalił znów swoje ognisko. przerywając niekiedy pracę, aby posłuchać podejrzanych szelestów. Zimno było dokuczliwe. Muzyka nieba była tylko niewyraźnym szeptem, mającym lada chwila zamrzeć. Gwiazdy bladły i możnaby powiedzieć, że cofały się z nieba, naleko, coraz dalej od naszego świata.

Ów widok znikania gwiazd posiadał dla Filipa coraz nowy wdzięk. Jest to jedno z najbardziej zdumiewających zjawisk podbiegunowych. Wydaje się, jak gdyby tysiące niewidzialnych rąk wyciągało się szybko ku firmamentowi i gasiło raz po raz owe płomienie, najpierw słabe, potem coraz silniej błyszczące i cały blask konstelacji. Potem zapadła ponura ciemność, trwająca prawie pół godziny i natychmiast nad tą najgłębszą przepaścią nocy wstawała zorza północna.

W tych nieprzeniknionych ciemnościach uczuł Filip, że obawy jego budzą się. Czyż chwili tej nie wybierze Bram, aby go zaatakować? Zbliżywszy zegarek do ognia, zobaczył, że była czwarta godzina. Zgasił ognisko i znów wdrapał się na drzewo. Bram nie zjawiał się.

Pojawił się szary świt.

Filip zlazł z gałęzi i po raz trzeci rozpalił ognisko, aby ugotować śniadanie i przyrządzić sobie kawę. Sporządził ją w podwójnej porcji. O siódmej godzinie był gotów do drogi, do podjęcia polowania na zagadkowego myśliwego. Noc upłynęła i Bram stracił wspaniałą sposobność pozbycia się go. Tym lepiej uciekając dalej, wlókł go za sobą ku tajemnicy złotych sideł. Wszystko było na najlepszej drodze.

Filip utorował sobie drogę wzdłuż małego lasku. Po upływie pół godziny przybył do miejsca, gdzie rozegrała się walka między wilkami a reniferem. Zwierzę padło o pięćdziesiąt jardów od lasku. W promieniu dwudziestu stóp dokoła śnieg był wydeptany przez kopyta i łapy walczących, a cała widownia pokryta była czerwoną krwią. Kawałki mięsa, skóry i połamanych kości, rozrzucone po ziemi, były jedyną pozostałością po zabitym reniferze.

Widać było jeszcze miejsce, w którym Bram otrząsł narty ze śniegu i położył je. Ślad jego mokassinów mieszał się z odciskami łap wilczych. Widocznie przybył na czas, aby uratować najlepszą cząstkę, jaką jest tylna część renifera i zawlókł ją na pewną odległość od czerwonej kałuży krwi. Biesiadzie zgłodniałej sfory, która pożarła wszystko, lub prawie wszystko, prócz wnętrzności, przyglądały się z góry gwiazdy. Przyglądały się również uczcie Brama, który prócz śladów swoich mokassinów, pozostawił kilka szczątków swojego jedzenia. Podobnie jak

kartka książki, śnieg opowiadał z całą wymaganą ścisłością o wszystkim, co się tu działo. I jeszcze bardziej niż przedtem Filip zrozumiał, przypatrując się temu widokowi, na jakie naraża się niebezpieczeństwo.

Śnieg opowiadał jeszcze o czymś innym. Bram załadował na sanki wszystko pozostałe mięso renifera. Badając ślady Filip doszedł do przekonania, że sanki te były typem „ootapanasku", ale szerszych i dłuższych od tych, które widział. Dalszy ciąg odgadnąć było łatwo. Kiedy zwierzęta i człowiek nasycili się, Bram wziął wilki na uprząż i popędzając sanki pojechał na północ, prosto przez Barren. Nie pozostawało nic innego jak dążyć za nim.

Zebrawszy drwa, Filip ugotował jedzenie na sześć dni. Przez trzy dni zdążać będzie za Bramem po tej smutnej przestrzeni, nieznanej nawet na mapie: po Wielkim Barrenie. Bez sanek nie można było nawet marzyć o dalszej drodze. Trzy dni tam, trzy dni z powrotem. Nawet ograniczając swoją ekspedycję na tym, igrał ze śmiercią. Nad głową jęgo zawisła groźba, gorsza niż Bram, groźba burzy.

W chwili, gdy ruszył w drogę na północ, ustaliwszy kierunek przy pomocy igły swojego kompasu, serce jego posmutniało. Dzień był ponury i bez słońca. Jak daleko sięgnął okiem, Barren rozciągał swoje białe posłanie, którego brzeg zlewał się z linią horyzontu, zaczerwienionego purpurowym światłem. Po godzinie marszu Filip pogrążył się zupełnie w melancholii i ciszy śmiertelnej. Zniknęła poza nim delikatna i ciemna sylwetka lasu. Niebo ciążyło nad nim jak brzemię ołowiane, coraz szersze i cięższe w miarę jak szedł naprzód. Idąc pod tym ruchomym więzieniem wiedział, że inni ludzie przed nim oszaleli. Przygniatała go sama pustka i w ciągu godziny wytężał całą swoją energię, aby pokonać nieprzezwyciężoną chęć powrotu. Ani jedna

skała, ani jeden krzak nie mąciły monotonii krajobrazu. Tylko czarne chmury kłębiły się ponuro, pędząc z północy na zachód. A niebo było tak niskie, tak niskie, iż zdawało się, jakoby można go dosięgnąć kamykiem.

Po różnych próbach w ciągu sześciu godzin Filip ustalił przy pomocy busoli kierunek śladu, pozostawionego przez Brama. Nie odbiegał on zbytnio od linii północnej. Nie było żadnego kamienia, ani drzewa, aby mógł kierować się podług nich. Bram wiedziony czystym instynktem, szedł równie prosto przez szare ciemności, jak to czynił Filip przy pomocy czułego narzędzia, jaki nosił przy sobie.

Po trzech godzinach marszu Filip stwierdził, że sanki zatrzymały się, jakkolwiek wilki nie zmieniły porządku w swojej uprzęży. Bram zsiadł poprostu z sanek, aby zdążać za nimi pieszo i wdziać narty. Filip zmierzył długość kroku outlawa (wyjętego z pod prawa). Były one wyższe o dwanaście do szesnaście cali od jego kroków, z czego wywnioskował, że Bram odbywał sześć mil w tym samym czasie, co on cztery.

Była pierwsza godzina, gdy Filip zatrzymał się dla ugotowania śniadania. Według jego obliczeń, przebył piętnaście mil. Kiedy jadł, ogarnęły go posępne myśli. Myślał, że jeśli Bram zabrał z sobą wielki zapas mięsa, to widocznie poto, aby zaopatrzyć w żywność siebie i swoją sforę, na czas wystarczający do przebycia tego morza smutku, które w niektórych miejscach rozciąga się aż do Morza Lodowatego. Pędząc bez wytchnienia mógł Bram przebiec w trzech lub czterech dniach sto pięćdziesiąt mil, podczas gdy Filip mógł w tym samym czasie odbyć zaledwie trzecią część tej drogi.

Aż do godziny trzeciej popołudniu postępował śladem Brama i byłby zdążał dalej jeszcze przez godzinę, gdyby zawieje śnieżne nie zatrzymały go, wznosząc przed

nim swoje białe zwały. Zapędziwszy się w burzę, postanowił sporządzić sobie schronisko dla spędzenia nocy.

Wiedział od Eskimosów, jak się należy do tego brać. Przy pomocy topora, który nosił za pasem, jął wyrąbywać w wielkiej kupie twardego śniegu, od strony zasłoniętej od wiatru, prosty podkop, który wedle sił oczyszczał, używając do tego jednej z swoich nart jako szufli. Kiedy tunel ten, szeroki na dwie stopy i wystarczający do wsunięcia się do wnętrza, był dość głęboki, wydrążył pokój dostateczny do ustawienia w nim łoża polowego. Po upływie godziny ukończył pracę i na widok tego wygodnego „home'u", gdzie nie dochodziło ani zimno, ani burza, na widok czekającego łoża czuł się wesoły.

Przyniósł ze sobą mały zapas drzewa i smolaków, cienko połupanych, sporządzonych z gałązek świerków. Potem wielki kij, który służył mu do zawieszania nad ogniem swojego czajnika, napełnionego śniegiem. Widząc trzaskające iskry począł gwizdać wesoło. Na dworze zapadała ciemność, nagła, podobna do czarnej firanki, nieprzejrzysta, choć oko wykol. Ani jedna gwiazda nie błyszczała na niebie. Na odległość dwudziestu kroków nie odróżniało się nawet śniegu.

Kiedy Filip kończył jeść wędzoną słoninę i placek, przedtem ogrzany, kiedy wypił herbatę i wypalił swoją fajkę, wyjął jeszcze raz z swojej kieszeni złote sidła. Przy ostatnich blaskach głowni, które gasły i do których dorzucił kilka smolnych gałązek, przypatrywał się im, ukrytym w dłoni, o błyskach podobnych do lśnienia rzadkiego metalu. I zanim płomień nie zgasł zupełnie, nie schował ich do kieszeni.

Chaotyczna ciemność zamknęła się nad nim, gdy ogień zagasł. Macając dokoła siebie rozciągnął zamiast

drzwi u wejścia podkopu swój jedwabny namiot. Wsunął się natychmiast do swojego worka i czuł się tam zadziwiająco dobrze. Od czasu, gdy opuścił chatę Piotra Breaulta, nie widział podobnego łoża. Poprzedniej nocy nie spał zupełnie. Dlatego też zapadł natychmiast w głęboki sen.

Godziny i noc przepłynęły nad nim. Nie słyszał wycia wiatru, który jął dąć od świtu, ani innych dźwięków, które napróżno kołatały z brzaskiem dnia do jego ucha. Wewnętrzna świadomość, która czuwała nad jego snem, wzywała go, aby się obudził. Naciskała jego mózg swoją ręką, coraz silniej i silniej, iż zaczął się poruszać na łóżku. Potem nagle oczy jego otworzyły się szeroko. Jasność wpadała do wnętrza przez wejście podkopu, które przysłonił namiotem.

Spojrzał bystrzej. Namiotu już nie było.

Zamiast niego tkwiła w otworze wejścia potężna, kosmata głowa, a oczy jego zetknęły się z oczyma Brama Johnsona.

VII.

Zwrot.

W ciągu swojej służby policyjnej, którą Filip wypełniał w Northlandzie, nauczył się nie dziwić niczemu, albo prawie niczemu. Ale cios był brutalny, kiedy znalazł się twarzą w twarz wobec człowieka, na którego polował.

Zerwał się tedy szybko i pierwszą myślą, która przyszła mu do głowy na widok tej dzikiej twarzy, tkwiącej w otworze podkopu, było to, że Bram, zaskoczywszy go w czasie snu, byłby go zabił bez trudu, gdyby miał zamiar to uczynić. Zauważył również od pierwszej chwili, że strzelba, która podtrzymywała jedwabny namiot, zniknęła razem z nim. Zabrał to wszystko Bram. Był tym tylko w części zdumiony.

Ale co go bardziej zdziwiło, to dziwny wyraz twarzy outlawa. Ten uporczywy wzrok, który utkwiony był w niego, nie zdradzał radości zwycięzcy, będącego panem swojej ofiary. Nie przejawiała się w nim nienawiść, ani jakakolwiek podnieta. Ale raczej pewne zakłopotanie i niepewność i jakby niezdecydowana bezsilność.

Filip mógł dokładnie zbadać tę twarz: wystające kości policzków, szerokie policzki, niskie czoło, płaski nos, grube wargi. Oczy oświetlały tę straszną maskę. Oczy te odziedziczył bezwątpienia Bram po jakiejś kobiecie, która

przekazała im swoją piękność. Tak, były one wielkie i piękne, szare jak perły. W każdej innej twarzy wywołałyby podziw i zachwyt.

Upłynęła długa chwila i żaden z obu mężczyzn nie wypowiedział ani słowa. Ręka Filipa przeniosła się instynktownie na rewolwer, ale nie miał, zamiaru użyć go. Wolał przemówić.

— Hallo, Bram! — rzekł.

— Bonjou, m'sieu: — odparł Bram.

Poruszyły się tylko grube wargi. Głos jego był niski i gardłowy. Prawie w tej samej chwili głowa jego zniknęła z otworu.

Żwawo wyskoczył Filip z swojego worka. Inny dodoleciał teraz hałas do jego uszu przez otwór podkopu. Był to zajadły krzyk wilków.

Dreszcz przebiegł ciało Filipa. Kiedy tak pełzał na kolanach i rękach w ciasnym tunelu śnieżnym, namyślał się, czy zamiast pozdrowić Brama, nie należało najpierw wpakować mu do głowy trochę ołowiu, Jeśliby Bram spuścił wilki, siedziałby tu jak szczur w łapce. Co za zabawa dla tej sfory i dla samego Brama! Zabiłby trzy lub cztery bestie i to byłoby wszystko. Inne rzuciłyby się na niego i dosłownie zalałyby go. Po raz drugi postąpiłby jak szaleniec, uległby diabelskiemu wpływowi człowieka wyjętego z pod prawa.

Kiedy znazł się u wejścia do podkopu, zatrzymał się, ciągle przykucnięty, z rewolwerem w dłoni. Przez otwór widział tylko śnieg na ziemi i wyciśnięte na nim stopy Brama, tuż obok jego. I słyszał dziki pomruk wilków.

Rozległ się głos Brama;

— M'sieu, rewolwer . . . nóż . . . albo cię zabiję. Wilki są bardzo głodne.

Nie widział Brama, który znajdował się poza promieniem jego wzroku. Głos nie był gniewny ani groźny. Ale czuło się w nim pewną zimną i spokojną wolę, iż stanie się tak, jak powiedział.

Wszelka walka byłaby nierozumna. Mając ku pomocy dzikie wilki, Bram odniósłby z pewnością zwycięstwo. Pojawienie się trzech tych bestyj na trzy kroki od niego, rozwiało wszystkie wątpliwości Filipa. Były to olbrzymy pustyni i kiedy spoglądał na nie, mruczące groźnie, widział biały połysk długich ich kłów, otwierających się i zamykających. Wkrótce przyłączył się do nich czwarty wilk. A potem zjawiały się kolejno po dwa, tworząc przed nim długi rząd.

Wszystkie były rozgoryczone i wydawały z siebie żałosne jęki, podczas gdy paszcze ich dzwoniły z trzaskiem jak kastaniety. Filip przyglądał się tym dwudziestu parom oczu, których lśniące źrenice czyhały na każdy jego ruch i cofnął się instynktownie, aby uwolnić się od tych spojrzeń. Wiedział, że to Bram powstrzymuje ich od ataku, a jednak nie usłyszał ani jednego jego rozkazu.

W tej samej chwili w powietrzu rozpostarł się nagle falisty cień i bat Brama ze skóry renifera świsnął nad głowami zgrai groźnym rzemieniem, długim na dwadzieścia stóp. Przestroga ta podziałała jak grom, zgraja rozpierzchła się i na nowo rozległ się głos Brama:

— M'sieu! rewolwer . . . nóż . . . albo puszczę na ciebie wilki.

Zaledwie słowa te wydobyły się z ust Brama, gdy rewolwer Filipa poleciał w śnieg.

— Masz, mój stary! A oto nóż!

Nóż i jego pochwa poszły w ślady rewolweru.

— Czy mam również wyrzucić na dwór moje łóżko? — zapytał Filip.



...stał już przed nim, oparłszy się silnie na nogach.

Czynił nadludzkie wysiłki, aby udać wesołego. Ale nie mógł zapomnieć, że poprzedniej nocy strzelał do Brama i łatwo było przypuszczać, iż Bram czekał tylko, aby wystawił głowę z dziury. Wtedy zabije go z pewnością. Jego zapytanie w sprawie łoża pozostało bez odpowiedzi. Zdumiało go to naturalnie. Powtórzył zapytanie, ale znów napróżno.

Mimo to zwinął swoje posłanie i zaśmiał się szyderczo w duchu, myśląc o raporcie, jaki napisze do swoich szefów, dodając, że nie napisze go nigdy. Będzie to oryginalne opowiadanie. Wydrążyć sobie dziurę w śniegu, jak niedźwiedź na zimę; potem być proszonym do opuszczenia jej przez człowieka uzbrojonego w kij i zostać otoczonym dokoła przez bestie z kłami błyszczącymi jak sztylety z kości słoniowej.

W chwilę potem wyrzucił na dwór swój worek do spania i zobaczył, że Bram schował go, podobnie jak rewolwer i nóż. Skorzystawszy z chwili, gdy Bram pochylił się, stał już przed nim, oparłszy się silnie na nogach.

— Dzień dobry, Bram! — rzekł.

Na to pozdrowienie odpowiedział mu chóralny ryk dzikich bestyj. Usiłował tymczasem ukryć przed nim swoje wzruszenie, jakkolwiek wszystkie jego nerwy były napięte do tego stopnia, iż wpił paznokcie w dłonie. Z gardła Brama wydarło się ostre, w języku Eskimosów wypowiedziane słowo i długi bat świsnął znowu nad ich zaślinionymi paszczami.

Bram nie spuszczał z oczu swojego więźnia. Filip ujrzał, że szare oczy jepo sposępniały i zapłonął w nich błyszczący ogień. Grube wargi zacisnęły się, płaski nos spłaszczył się jeszcze bardziej i potężna, naga ręka, trzymająca bat, naprężyła się żyłami, jak struny baranie. Bram gotów był bić i zabić. Jedno niezręczne słowo, jeden przedwczesny ruch a Filip doczekałby się smutnego końca.

Tym samym gardłowym głosem i w tej samej gwarze metysów, Bram zapytał:

— Dlaczego strzelałeś do mnie wczoraj wieczorem?

— Ponieważ chciałem z tobą rozmawiać, Bram, — odparł Filip spokojnie. — Nie strzelałem, aby cię trafić. Mierzyłem ponad twoją głowę.

— Chciałeś ze mną rozmawiać? — odparł Bram, a każde jego słowo wypowiadane było z ogromnym wysiłkiem. — Dlaczego?

— Chciałem cię zapytać, dlaczego zabiłeś człowieka w okolicy Jeziora Bogów.

Zaledwie Filip to wymówił, gdy pożałował tych słów. Z piersi Brama wydobył się ryk, podobny do ryku zwierząt. Tajemniczy ogień, płonący w jego oczach, rozbłysnął jeszcze silniej.

— Ach! Tego policjanta? Tego, który przyszedł z fortu Churchilla i którego zabiły wilki?

Bram odrzucił rewolwer i nóż. Trzymał tylko w ręce bat i kij. Wilki otoczyły Filipa i nie mógł się odwrócić, aby ich nie widzieć. Ponure ich milczenie napełniało go trwogą. Czekały na jakiś rozkaz Brama, śledziły każdy jego ruch. Instynkt mówił im, że rozkaz ten, na który czekały z utęsknieniem, drżał już na grubych ustach pana. Chwila była decydująca i szalenie okropna.

Filip wyjął z kieszeni portfel.

— Bramie Johnson — rzekł, — zgubiłeś coś w nocy, gdy obozowałeś koło domu Pierre Breaulta.

Głos jego był drżący, a ton jego dziwnie przygłuszony.

— Jeśli poszedłem za tobą, Bramie Johnson, to jedynie poto, aby ci oddać ten przedmiot. Mogłem cię zabić, gdy strzelałem do ciebie. Ale chciałem tylko, abyś się zatrzymał i oddać ci to . . .

I wręczył Bramowi złote sidła.

VIII.

Kres podróży.

W ciągu dobrej pół minuty Bram stał jak skamieniały.

Oczy jego przestały wpatrywać się w Filipa i zwróciły się ku warkoczowi. Grube jego wargi odchyliły się i usta otworzyły się szeroko. Zdawało się, że przestał oddychać. Ręce jego wypuściły bat i kij, które upadły na śnieg.

Jakby zahypnotyzowany sidłami uczynił krok naprzód, potem dwa, potem jeszcze jeden, aż zbliżył się do Filipa. Wziął do ręki złoty warkocz, nie wypowiedziawszy ani słowa. Ale zły blask zagasł w jego szarych oczach. Rysy jego ciężkiej twarzy złagodniały i kiedy podniósł w górę włosy, zniknęło coś z jego zwierzęcości. Był to jedyny uśmiech, jakim natura mogła obdarzyć twarz Brama.

Ciągle jednak milczący, nie mówił nic, zwijając warkocz dokoła swoich wielkich palców, potem schował go gdzieś w kieszeni. Ale nagle uprzytomnił sobie obecność Filipa i chwycił rewolwer, a potem mruknął dziko, jakby wyrażając tym swoje myśli i udrzucił go precz daleko, w białą dal. A wilki biegały nieustannie w szalonych podskokach. To samo uczynił z nożem. Kiedy przyszła kolej na strzelbę, olbrzym oparł ją o kolano i tak spokojnie, jak gdyby łamał kawałek patyka, przełamał ją koło lufy. —

— Niech go licho porwie! — zaklął Filip.

Porwała go fala gniewu i przez chwilę chciał już rzucić się na Brama, aby bronić swojego mienia. Ale jeśli przed chwilą czuł się bezbronny, jakże bardziej bezbronnym był teraz! Przyszła mu do głowy niemal natychmiast inna myśl. Jeśli Bram zniszczył jego broń, miał widocznie zamiar oszczędzić jego życie, przynajmniej chwilowo.

Bezcelowość dysputowania kazała mu milczeć. Bram spojrzał na niego i wskazał mu swoje narty. Było to milczące zaproszenie do wdziania ich. Wilki wróciły, podstępne i chytre. Rozległ się trzask bicza. Bram podniósł ramię ku północy i dał znak Filipowi, aby szedł naprzód. Karawana ruszyła w drogę. Bram postępował za Filipem, a zgraja wilków za Bramem. Porządek orszaku wskazywał wyraźnie, że outlaw zabierał z sobą więźnia, nieprzyjaciela. Dlaczego jednak zlitował się? Tajemnica.

Przy końcu dwóch mil znaleziono sanki Brama. Pozostawił je, aby mieć większą swobodę ruchów, gdy przyszedł w nocy z swoimi wilkami czyhać na ścigającego go nieznajomego. Domyślił się bowiem zapewne, że Filip szedł za jego śladami po ostatnim spotkaniu się z nim. Taktyka człowieka-wilka była zdumiewająca. Filip dziwił się jej w duchu.

Obserwował Brama, gdy ów nakładał na zgraję uprząż. Wilki słuchały go jak psy. Między nim a nimi istniało jakby koleżeństwo, nawet uczucie. Bram przemawiał do nich wyłącznie po eskimosku. Słowa trzaskały, jak gdyby ocierano o siebie garść kości: klak, klak, klak. Nie był to już gardłowy ton Brama, gdy mówił gwarą metysów.

W chwili, gdy sanki miały ruszyć, Filip usiłował jeszcze raz przerwać milczenie i wydobyć z Brama kilka słów.

— Jeśli myślisz naprawdę, że chciałem ciebie zastrzelić — rzekł, — dlaczego nie odpowiedziałeś mi, wypuszczając na mnie swoje wilki, jak to uczyniłeś już z innymi? Dlaczego przyszedłeś jedynie poto, aby mnie uwięzić w mojej kryjówce? A następnie... gdzie idziemy, na Boga, gdzie?

Bram wyciągnął ramię w kierunku Barrenu.

— Tam! — rzekł, nie odpowiadając na resztę pytań.

I ramię jego wskazywało nieruchomo północ jak igła busoli.

A potem, jak gdyby myśl jego wróciła do pierwszej części pytań Filipa, wybuchnął śmiechem. Brzydota naturalna Brama w chwili, gdy się śmiał, upodobniała twarz jego do koszmaru, do owych okapnic gotyckich, wyrzeźbionych w gzymsach starych katedr, zapatrzonych wybałuszonym okiem w przeszłość. Śmiech ten był do tego stopnia drażniący, że Filip miał chęć chwycić śmiejącego się za bary i trząść nim, aż zacznie mówić.

Ale jeszcze raz pomyślał o Pelletierze. O tym Pelletierze, który zapewne, jak Bram, był na pół szalony, gdy wypisywał na drzwiach swojej chaty bezładne zdania. I Bram walczył z szaleństwem, z szaleństwem i samotnością, które zabiły Pelletiera. Bo jeśli zabił, ciążyło na nim przekleństwo. Był poza nawiasem człowieczeństwa z rozkazu Prawa!

Śmiech ustał i Bram przybrał znów niewzruszoną minę. Jednym ruchem wskazał Filipowi, że musi wsiąść do sanek, podczas gdy on sam objął prowadzenie wilków. Świsnął bat, Bram przemówił do wilków po eskimosku, wilki pociągnęły liny i odjechali.

Człowiek-zwierzę, o niskich ramionach i niskiej głowie, otwierał pochód na swoich nartach. Jechali przeciętnie ośm mil na godzinę. Siedząc na sankach nie mógł Filip oderwać

oczu od szerokich pleców Brama i szarych grzbietów wilków. Widząc jak człowiek ów i owe bestie trudzą się w braterskim wysiłku, przebywając świat milczenia i nicości, ogarnęła go litość dla tych pariasów życia.

Potem oczy jego spoczęły na sankach i z zaciekawieniem przyglądał się wszystkiemu, co się na nich znajdowało. Leżały na nich zwinięte skóry niedźwiedzie. Były to przykrycia Brama. Jedna z nich, z białym futrem, pochodziła od niedźwiedzia polarnego. Obok skór leżała tylna część ciała renifera. Na długość ręki znajdowała się strzelba i kij. Strzelba była starego typu, na jeden strzał i nabijała się przez nasadę. Filip zastanawiał się dlaczego Bram, miast niszczyć jego strzelbę, bardziej nowoczesną, nie zabrał jej sobie, zamiast tego starego rekwizytu.

Jeszcze bardziej niż strzelba, zdawał się być używany kij. Sporządzony był z brzozy i długi na trzy stopy. W miejscu, gdzie go zwyczajnie trzymał Bram, był zupełnie zniszczony, wytarty i tak dalece powleczony brudem, że był czarny jak heban. Na przeciwległym końcu, którym się uderzało, zaostrzona jego powierzchnia nosiła oznaki gwałtownych, szybkich razów i ślady krwi, na pół wyblakłej. Nie było na saniach żadnych przyborów kuchennych ani artykułów spożywczych, prócz mięsa renifera. W tyle znajdowała się tylko duża wiązka smolaków jodlanych, skąd wysterczała gruba rękojeść siekiery.

Skóra niedźwiedzia i strzelba przykuwały szczególnie uwagę Filipa. Strzelba! Wystarczało, aby się tylko nachylił, a mógł ją pochwycić, a myśl podszeptywała mu, że trafi z pewnością w szerokie plecy, sterczące przed nim. Bez wątpienia Bram zopomniał o broni na sankach. A może liczył tylko na pomoc swoich wilków, które uważał za wystarczające, a może także... ufał swojemu więźniowi? To przypuszczenie powstrzymało Filipa. W istocie nie pragnął

zupełnie zrobić Bramowi coś złego. Nie usiłował również uciec od niego. Zapomniał, że był zaprzysiężonym agentem Prawa i że winien przynieść do swojej Kwatery Głównej skórę Brama, żywego lub umarłego. Bram nie był już dla niego mordercą. Był to człowiek nieszczęśliwy. I w tym polowaniu na człowieka nie widział już tylko zwyczajnego sportu, ale dostrzegał w nim kuszący wdzięk obowiązku ludzkiego i dreszcz nieznanych wrażeń.

Istotnie, były jeszcze złote sidła. Kiedy chwyciła go pokusa, aby sięgnąć po strzelbę, pozostawioną tutaj jakby przez Opatrzność, rękę jego powstrzymała ta druga myśl. Bram i jego wilki wiozły go z całą szybkością ku złotym sidłom i ich tajemnicy. Teraz nie wątpił o tym.

Jak długo trwała ta jazda? Nie trudno było przypuszczać, że jadąc na wschód od wielkiego Jeziora Niewolników, Bram kierował się ku Morzu Lodowatemu i że osiągnie Rzekę Pokładów Miedzi. Skóra białego niedźwiedzia, leżąca na sankach, pochodziła od świeżo zabitego zwierzęcia, a okolice te obfitują w tego rodzaju zwierzęta. Było to dobrych pięćset mil aż do pierwszych kolonii Eskimosów. Bram i jego wilki mogli przebyć tę przestrzeń w dziesięciu dniach, może w ośmiu.

Ustaliwszy ten fakt, można było zrozumieć bardzo wiele rzeczy. Młoda dziewczyna czy kobieta, do której należał złoty warkocz, przybyła w owe okolice na pokładzie statku wielorybiego. Może była to żona lub córka kapitana. Okręt rozbił się wśród gór lodowych i załogę wyratowali Eskimosi. Ona była u nich aż do teraz, w towarzystwie innych białych ludzi. Była to lepsza myśl niż przypuszczenie, że należała do Brama.

Filip czynił wszystko możliwe, aby odepchnąć od siebie tę ohydną i straszną myśl, która mimo wysiłków

chciała go opuścić. Bo, w istocie rzeczy, tak mogło być. Kobieta o takich włosach, podobnych do złota, w posiadaniu tego olbrzyma, półobłąkańca! Co za potworne połączenie.

Kiedy wyobraźnia Filipa bujała, ręce jego zaciskały się. Brała go chęć wyskoczyć z sanek, rzucić się na Brama, powalić go na śnieg i przygniótłszy nogą jego piersi, wydrzeć mu całą prawdę. Ale należało pohamować się i używszy mądrej dyplomacji, czekać upragnionego końca.

Przez godzinę ustalał Filip przy pomocy busoli kierunek drogi obranej przez Brama. Szła ona ku północy. Potem Bram usiadł sam na sankach. Stał wyprostowany nad Filipem, a jego długi bat popędzał zaprzągnięte wilki, które jęły biec galopem, z szybkością przekraczającą dziesięć mil na godzinę.

Kiedy sanki gnały przez zamarzniętą równinę, Filip próbował prawie dziesięć razy nawiązać rozmowę. Ale Bram ciągle nie odpowiadał. Zadowalniał się od czasu do czasu tym, że nawoływał po eskimosku swoje wilki, trzaskał z bata i wywijał w powietrzu wielkimi ramionami, przerywając to swoim apokaliptycznym śmiechem.

Upłynęły jeszcze dwie godziny. Bram wydał krótki rozkaz i wilki zatrzymały się. Nastąpił drugi rozkaz, energiczny i brutalny, rzemień bata świsnął groźnie i zadyszane wilki zaryły się brzuchami w śnieg.

Filip wyskoczył z sanek, podczas gdy Bram nachylił się ku strzelbie. Klęcząc przed nią, pokazał ją palcem Filipowi. Potem zaś rzekł spokojnie, dobitnie, nie zdradzając w głosie obłąkania:

— Nie ruszaj strzelby, m' s i e u. Dlaczegoś nie strzelał, gdy byłem tu, odwrócony do wilków?

— Dla tej samej przyczyny, dla której ty mnie nie zabiłeś, gdy spałem — odparł Filip.

I chwyciwszy Brama za ramię, rzekł:

— Dlaczego, diable, jesteś taki skryty? Dlaczego nie mówisz? Teraz ciebie nie ścigam. Policja uważa ciebie za umarłego, a ja nie mam zamiaru cię zdradzić. Dlaczego nie chcesz się trochę uczłowieczyć? Gdzież my, do lichai jedziemy i dlaczego?

Nie skończył. Głowa Brama odskoczyła w tył, usta jego rozdarły się od ucha do ucha i wybuchnął z nich niepowstrzymany śmiech. Ale tym razem nie był to śmiech zły i tragiczny. Był to prawdziwy śmiech, zupełnie naturalny, którym Bram śmiał się swobodnie. Wziął do ręk, strzelbę i otworzył kurek. Magazynek był pusty.

Filip zdębiał. Bram podsunął mu pokusę, aby go wypróbować!

Podstęp nie był pozbawiony logiczności ani pomysłu. Był dziełem człowieka zdrowego na umyśle. Ale oczy Brama nabrały znów wyrazu dzikości, który pogrążył go w niezgłębionych swoich otchłaniach.

Odłożywszy strzelbę Bram począł krajać na kawałki mięso renifera przy pomocy wielkiego noża. Zapewne zadecydował, że nadeszła już pora wspólnego śniadania. Każdemu wilkowi wydzielił porcję mięsa, po czym odciął sobie płat i pożarł go żarłocznie. Zostawił nóż, wetknięty po rękojeść w kadłub. Było to zaproszenie Filipa do uraczenia się mięsem.

Filip usiadł obok Brama i otworzywszy swoją torbę, wyjął z niej swoją własną żywność. Rozłożył ją umyślnie między sobą a towarzyszem, aby ów uraczył się również, jeśli zechce.

Szczęki Brama przestały gryźć i kiedy Filip podniósł oczy, zadrżał. Oczy Brama nabiegły krwią. Wpatrywały się uporczywie w żywność.

Człowiek-zwierzę pochwycił kawałek placka i zbliżył go do ust. Już miał go zjeść, gdy nagle odrzucił mięso i placek i rzucił się z rykiem na Filipa jak dzikie zwierzę. Zanim Filip miał czas podnieść ramię do obrony, zanim nawet mógł zrozumieć, co się stało, olbrzym chwycił go za gardło i powalił na ziemię. Głowa jego uderzyła o twardy śnieg i spoczął tak przez chwilę zupełnie ogłuszony.

Kiedy się podniósł, chwiejąc się na nogach i oczekując nowego napadu, Bram nie zwracał już na niego uwagi.

Bełkocąc jakieś bezładne słowa, rozkładał cały inwentarz żywnościowy Filipa. Potem mrucząc niezrozumiałe wyrazy, przysunął do siebie z sanek stos skór niedźwiedzich, rozwinął go i wyjął z niego szary worek, prawie w strzępach. W worku zobaczył Filip pewną ilość małych paczek, zawiniętych bądź to w papier, bądź też w korę brzozową. Poznał, że jedna paczka zawierała pół funta herbaty, podobna do tych, jakie Towarzystwo Załogi Hudsona sprzedaje lub używa do zamiany we wszystkich swoich sklepach.

Teraz Bram włożył do worka wszystką żywność Filipa aż do ostatniego placka. Kiedy skończył, zawinął znów worek w skóry niedźwiedzie i położył je na sanki. Zrobiwszy to, nie przestając ciągle mruczeć, usiadł znowu i skończył jeść spokojnie swoje surowe mięso.

— Biedaczysko! — szepnął Filip.

Z powodu brutalnego powalenia, od którego był jeszcze ogłuszony, nie gniewał się zupełnie na Brama Johnsona. Niepokonana żądza, głód, wywołany widokiem tego ludzkiego pożywienia, błyszczał w dzikim spojrzeniu potwora. A mimo to nie jadł nic. Dlaczego? Jedno było pewne, że jeśli Filip nie próbował odzyskać swojej własności, to ze względu na swoje życie.

Bram stał się pozornie obojętny. Ale skoro ujrzał, że Filip odkrajał sobie płat renifera, jął go obserwować. Filip zatopił swoje zęby w surowym mięsie i ażeby pokazać człowiekowi-wilkowi, iż nie czuje do niego żadnej urazy, jął zajadać z niezwykłym smakiem.

Był jeszcze zajęty spożywaniem tej prostej pieczeni, gdy Bram, ukończywszy swoje mięso, wstał i nie czekając dłużej dał znak do odjazdu przeraźliwym okrzykiem. Wilki pociągnęły postronki i Filip usiadł w sankach, mając za sobą Brama.

Zaczęła się znów diabelska galopada i jeszcze po wielu latach Filip pamiętał ją doskonale. Bram to stał wyprostowany na sankach, to znów, częściej, biegł na czoło lub też na tył uprzęży. Wilki, podobnie jak Bram, czyniły niezwykłe wysiłki. Pędziły bez wytchnienia przez śnieżny Barren, bez wypoczynku. Jeśli niekiedy zwolniły tempa, bicz Brama smagał ich szare grzbiety, a przeraźliwy głos trąbił im do uszu dzikie przestrogi. Zamrożona powłoka była tak oporna, że narty stały się niepotrzebne. Kilkanaście razy Filip wysiadał z sanek i biegł razem z Bramem, ramię przy ramieniu, i ze sforą wilków aż do utraty tchu.

Około południa busola wskazywała mu, że nie pędzili już ku północy, ale prawie wyłącznie na zachód. Potem co kwadrans sprawdzał tę nową orientację, od której Bram nie odstępował. Ciekawe było, że bieg ten był tak szalony od chwili, gdy Bram zagarnął żywność Filipa. Widocznie Bram miał jakąś myśl, bo odtąd bełkotał nieustannie swój niezrozumiały monolog.

Dzień już zachodził, gdy się wkońcu zatrzymali. Jeszcze raz wydawało się, że człowiek-wilk odzyskał na chwilę rozum. Palcem pokazał Filipowi wiązkę opału i rzekł jak normalny człowiek:

— Ogień, m'sieu!

Wilki zwaliły się wyczerpane na śnieg i rozpostarłszy łapy ułożyły na nich swoje wielkie, kosmate głowy. Bram obejrzał je wszystkie i przemówił do każdego przyjaznym tonem. Potem pogrążył się znów w milczeniu. Ze skóry niedźwiedziej sporządził samowar i napełniwszy go śniegiem zawiesił go przy pomocy drążka nad chrustem. Filip zapalił zapałkę i wesoły ogień zapłonął.

— Ile mil przebyliśmy? — zapytał Filip,

— Pięćdziesiąt, m'sieu! — odparł bez namysłu Bram.

— A ile mamy jeszcze przebyć?

Pomruk był jedyną odpowiedzią Brama, którego twarz zobojętniała. Trzymał w ręce kordelas, którego używał do krajania mięsa renifera i wpatrywał się w niego uporczywie. Potem spojrzał na Filipa.

— Zabiłem człowieka koło Jeziora Bogów, — rzekł, — bo mi ukradł mój nóż i nazwał mnie kłamcą. Zabiłem go, ot tak!

I porwawszy kawałek drzewa, rozłupał go na dwoje.

Potem wybuchnął ponurym śmiechem, zbliżył się do mięsa i odkrajał z niego kilka kawałków, dla siebie, Filipa i swoich braci, wilków. Filip podwoił swoje wysiłki, aby go wyrwać z milczenia. Śmiał się, gwizdał a nawet próbował śpiewać znaną piosenkę „O reniferze", którą Bram zapewne często słyszał. Smażąc swój płat mięsa nad ogniem mówił o Barrenie i o wielkiej zgrai reniferów, którą spotkał na wschodzie. Zadawał Bramowi różne pytania, o czasie spędzonym od chwili jego pobytu na Barrenie, o wilkach, o kraju północnym. Widoczne było, że Bram słucha uważnie, co on mówi, ale od czasu do czasu odpowiadał tylko zwyczajnym pomrukiem.

Ukończywszy jeść mięso musieli czekać dobrą godzinę, aż śnieg stopi się w skórze i zamieni się w wodę.

Ugasili nią pragnienie i napoili wilki. Noc już zapadła i przy blasku ogniska Bram wydrążył sobie w śniegu prostą dziurę nakształt łóżka. Potem przewrócił na siebie sanki, aby utworzyć z nich dach.

Filip usadowił się, jak mógł najlepiej, w worku do spania i rozpiął nad sobą namiot. Silny oddech Brama przekonał go, że człowiek-wilk śpi. Ogień wygasł

Spał głęboko, gdy uczuł ciężką pięść, bębniącą po jego ramieniu. Obudził się i usłyszał głos Brama:

— Wstawaj, m'sieu!

Noc była tak czarna, że nie mógł zobaczyć Brama. Ale zerwawszy się na nogi usłyszał, że Bram mówił do wilków i zrozumiał, iż należy ruszyć w drogę. Zwinął więc swój worek do spania i namiot, położył je na sanki i zapaliwszy zapałkę, spojrzał na zegarek. Był zaledwie kwadrans po północy.

Aż do drugiej godziny nad ranem sanki pędziły wśród ciemności, ciągle na zachód. Potem niebo zalśniło gwiazdami, coraz jaśniejszymi i liczniejszymi i śnieżysta równina zajaśniała w dali, jak w ową noc, gdy Filip po raz pierwszy znalazł się naprzeciw Brama. Zapalał od czasu do czasu zapałki, aby spojrzeć na busolę i zegarek.

O godzinie trzeciej karawana natknęła się na mały lasek, co zaskoczyło Filipa. Owych kilka karłowatych jodeł, targanych wiatrem, pokrywało ledwie pół akru. Ale bez wątpienia zapowiadał większy las.

Istotnie, po godzinie, skierowawszy się ku północy i prując dalej biały Barren, sanki dosięgły skraju lasu, jeszcze rzadko zasianego, który w miarę, gdy się weń zapuszczano, stawał się coraz regularniejszy, większy i wyższy. Kiedy tak ujechano ośm do dziesięć mil, wstała szara i smętna jutrzenka i nagle pojawiła się chata.

Serce Filipa jęło bić. Ale czekało go rozczarowanie. Nie było tam żadnego życia. Żaden dym nie wznosił się z komina, a drzwi były niemal zagrzebane w olbrzymiej zaspie śnieżnej. Zatrzymawszy się chwilę Bram trzasnął biczem, wilki ruszyły naprzód i szalony śmiech Brama rozległ się ponurym echem po lesie.

Zostawili za sobą wymarłą chatę, przywaloną śniegiem. Filip domyślał się teraz, że podróż zbliża się do kresu. Wilki upadały ze zmęczenia. I człowiek-zwierzę ledwie wlókł nogi. Teraz Filip patrzał przed siebie z rosnącym zaciekawieniem. Badał oczyma, co się wkrótce ukaże . . .

Była ósma godzina rano (jechano dwie godziny od opuszczenia zamarłej chaty), gdy sanki wjechały na skraj polanki, w pośrodku której stała druga chata. Od pierwszego wejrzenia Filip zrozumiał, że było w niej życie. Z komina unosił się delikatny pasek dymu.

Widać było tylko dach tej chaty, zbudowany z drzewa, ponieważ otoczona ona była dokoła palisadą, wysoką na sześć stóp. Bram zatrzymał sanki, na kilka kroków od bramy i wetknąwszy rękę przez wycięty w tym celu otwór, odsunął wewnętrzną zasuwkę.

Brama otworzyła się.

Filip zauważył, że twarz Brama dziwnie złagodniała. Straciła swoją dziką obojętność. Oczy jego zabłysły nieznanym blaskiem, a grube usta rozchyliły się, aby wybełkotać jakieś niezrozumiałe słowa. Oddech był urywany, nie z powodu zmęczenia fizycznego, ale pod wpływem źle ukrywanego wzruszenia.

Obserwując ciągle Brama, Filip milczał, Usłyszał poza sobą stękanie wilków, czekających niecierpliwie na spuszczenie ich z uprzęży. Gniewała go ta tajemnicza radość, malująca się na twarzy Brama. Zacisnął pięści.

Bram nie widział jego ruchu. Spoglądał ku chacie i dymowi, który się z niej dobywał. Potem odwrócił się i rzekł:

— M' s i e u, idź do chaty!

Otworzył szeroko bramę ogrodzenia i Filip wszedł. Potem stanął, aby się upewnić, jakie są zamiary Brama.

Człowiek-wilk wyciągnął rękę ku chacie.

— W jamie wypuszczę wilki, m' s i e u ! — rzekł.

Filip zrozumiał. Jamą na wilki było ogrodzenie. Była to ich obora i Bram chciał powiedzieć Filipowi, żeby wszedł do chaty, zanim spuści zwierzęta.

Filip czynił wszystko możliwe, aby ukryć swoje wewnętrzne podniecenie i okazać spokój. Od bramy ogrodzenia do drzwi chaty liczne ślady kroków wytłoczyły w śniegu ścieżkę i łatwo było poznać po małych rozmiarach mokassinów, że ślady te pochodzą od kobiety. Filip zbuntował się przeciw swej nadziei. Była to zapewne jakaś Indianka, która żyła z Bramem albo może raczej młoda Eskimoska, którą przywiódł z sobą z okolic podbiegunowych . . .

Poszedł ścieżką ku tajemniczym drzwiom. Kiedy stanął pod drzwiami, nie zapukał do nich, ale wszedł, jak to mu nakazał Bram i drzwi zamknęły się za nim . . .

Wtedy Bram Johnson odrzucił w tył głowę i wybuchnął tryumfalnym śmiechem, śmiechem tak donośnym, że nawet wilki skurczyły uszy i jęły lękliwie nadsłuchiwać.

W tej samej chwili Filip stał już we wnętrzu chaty, w obliczu tajemniczych złotych sideł.



...Otworzyły się drzwi i stanęła w nich młoda dziewczyna.

IX.

Pierwsze zetknięcie się z nieznajomą.

Jedyne okno chaty zwrócone było ku wschodowi. Blade promienie słońca zimowego wpadały przez jego otwór i oświetlały znajdujące się naprzeciw przepierzenie. W tym przepierzeniu otworzyły się drzwi i stanęła w nich młoda dziewczyna.

Zalana promieniami słońca, wydawała się otoczona nimbem tych samych cudownych włosów, których błyszczący warkocz posłużył do sporządzenia złotych sideł. Rozpuszczony ów warkocz spadał jak fala na jej ramiona i piersi, aż do bioder. Żywe ognie słońca rozpaliły go jak płomień.

Takie było pierwsze wrażenie Filipa. Po drugie stwierdził, że przeszkodził młodej dziewczynie w ubieraniu się. Patrzyła na niego milcząco, z najwyższym zdumieniem. I pod kaskadą włosów Filip dojrzał mleczną biel jej nagich ramion.

Potem zaś wzrok Filipa przeniósł się na jej twarz. Czuł, że krew zastyga w jego żyłach. Dusza tkwiąca w tej pięknej, ale bladej twarzy, zdradzała cierpienie. Kobieta ta była młoda. Nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Oczy jej, jakich jeszcze Filip nie widział nigdy, były płowe, jak ametysty. W czystym ich krysztale przebijało się przebyte

cierpienie i lęk o jutro. Filip zrozumiał, że nieznajoma przebyła piekło.

— Niech się pani nie lęka, — rzekł łagodnie. — Jestem Filip Brant, członek policji królewskiej North-Westu.

Młoda dziewczyna nie odpowiedziała. Filip nie był tym zdumiony. W oczach jej czytało się całą historię jej niewoli, tak wyraźnie, jakby ją sama opowiedziała. Cóż mogła jeszcze dodać? A jednak byłby niezmiernie szczęśliwy, gdyby się te usta otwarły. Co do niego samego, wiedział tylko tyle, że skoro dotarł aż tutaj, nadeszła chwila, w której zabije Brama.

Powtórzył poprzednie słowa. Młoda dziewczyna westchnęła głęboko i Filip ujrzał falujące pod jej włosami piersi. Ale oczy jej pozostały zdumione. Nagle pobiegła do okna i Filip zobaczył, że ręce jej zacisnęły się, gdy nachyliła się, aby wyglądnąć na dwór. Bram wprowadzał właśnie wilki do ogrodzenia. Wzrok jej zwrócił się potem w stronę Filipa i pełen był przestrachu. Wyglądała jak zwierzę stojące przed batem, który ma je uderzyć. Sam był tym zdumiony i przestraszony. I kiedy postąpił ku niej na krok, ona cofnęła się. Wyciągnęła swoje nagie ramiona, aby go powstrzymać i z ust jej wydarł się przenikliwy krzyk.

Krzyk ten powstrzymał Filipa, jak gdyby to był wystrzał. Powiedziała coś, ale nie zrozumiał, co mówiła. Otworzył szeroko płaszcz i promień słońca padł na policyjną oznakę z bronzu, która wisiała na jego piersi. Młoda dziewczyna była zdziwiona, przynajmniej tak, jak dotychczas przerażona. Filip pomyślał, że ze swoją krzaczastą brodą musi wyglądać jak Bram. Jasne było, że go się bała. Teraz uspokoiła się zwolna.

— Jestem Filip Brant, — powtórzył, — członek policji królewskiej North-Westu. Przybyłem wyłącznie na pomoc

pani, jeśli jej pani potrzebuje. Mogłem już dawno schwytać Brama i zabić go, ale nie uczyniłem tego dla jednego powodu: dla pani. Dlaczego przebywa tu pani z tym szaleńcem i zbrodniarzem?

Patrzyła na niego z wielką ciekawością i na twarzy jej, dotąd białej, pojawił się nagle rumieniec. Ujrzał, że strach przebija się z oczu, a źrenice jej napełniają się blaskiem wzruszenia. Na dworze słychać było Brama i jego wilki. Zwróciła się ku oknu. Potem zaczęła mówić szybko i namiętnie, językiem, który wydał się Filipowi równie zagadkowy, jak tajemnica jej obecności w chacie Brama.

Wiedziała, że nie mógł zrozumieć, co mówiła do niego i naraz zbliżyła się do niego, położyła palec na jego ustach, potem na swoich, potrząsając głową. Filip czuł pod naciskiem palca drżenie, które ją przenika. Wszystko się wyjaśniło. Dawała mu do zrozumienia, że mają sobie wiele do powiedzenia, ale nie mogą tego uczynić, ponieważ nie władają tym samym językiem. Osłupiał i jął się w nią wpatrywać jak głupiec.

W tej chwili rozległo się koło drzwi ciężkie stąpanie Brama. Oczy młodej dziewczyny sposępniały natychmiast i szybko, z rozburzonymi włosami, powiewającymi dokoła niej jak złota chmura, skoczyła do sąsiedniego pokoju, skąd wyszła na spotkanie Filipa.

Zniknęła w nim, gdy drzwi otworzyły się i wszedł Bram. Tuż za nim, z drugiej strony progu, ujrzał Filip sześć wilków, które rzucały do wnętrza chaty żarłoczne spojrzenia. Bram uginał się pod tłumokiem, który zabrał z sanek. Zrzucił go na podłogę i nie zwracając uwagi na Filipa, wpił wzrok w firankę, która zastępowała drzwi prowadzące do drugiego pokoju.

Bram był jakby zahypnotyzowany tą firanką a Filip patrzał na Brama. Ani jeden ani drugi nie ruszali się

z miejsca. Wśród ciszy słychać było kroki młodej dziewczyny za firanką.

Filipa ogarnęły sprzeczne uczucia. Gdyby posiadał jakąś broń, z miejsca skończyłby z Bramem, bo dziwny płomień, który błyszczał w oczach człowieka—wilka potwierdzał najgorsze jego podejrzenia. Ale ręce jego były nagie. Rozglądnąwszy się dokoła ujrzał koło pieca stos polan do palenia. Polano takie mogło w wyjątkowym wypadku oddać potrzebną usługę.

Firanka podniosła się i w drzwiach pojawiła się młoda dziewczyna. Śmiała się oczyma i ustami, a uśmiech jej zwracał się prosto do Brama! Dla nerwów Filipa było to uderzenie biczem. Ku Bramowi zdawała się wyciągać swoje piękne ramiona i jęła mówić do niego.

Filip nie mógł zrozumieć ani słowa z tego, co do niego mówiła. Nie była to mowa creeska, ani czippewayska, ani eskimoska. Nie był to język francuski ani niemiecki, lub którykolwiek inny, jaki kiedyś słyszał. Głos był miły i czysty. Drżała tylko nieco, bo mówiła szybko. We wzroku jej nie było już przerażenia jak wtedy, gdy powitała Filipa. Młoda dziewczyna uczesała i zaplotła starannie swoje włosy i wyglądała jak wspaniały portret, wyjęty z ram. Portret ten nie zdradzał rasy żadnej kobiety, wychowanej na Ziemi Północy.

Człowiek-zwierzę przeobraził się. Oczy jego błyszczały zadowoleniem. Niezgrabna jego twarz miała wyraz dużego, łaszącego się psa, grube usta poruszały się jak gdyby powtarzały po cichu to wszystko, co mówiła młoda dziewczyna.

Czyż to możliwe, aby ją rozumiał? A więc Bram znał jej nieznany język? I Filip namyślał się jaką właściwie odegra tutaj rolę. Młoda dziewczyna wydawała się naprawdę szczęśliwa. Co się stało?

Kiedy skończyła mówić, człowiek-zwierzę odpowiedział jej swoim gardłowym krzykiem, który brzmiał jak „pean" zwycięstwa. Padł na kolana przed szarym workiem i, nie przestając bełkotać, jął wypróżniać jego zawartość na podłogę.

Oczy Filipa skrzyżowały się ponad Bramem ze wzrokiem młodej dziewczyny. Położyła rękę na piersiach i zdawała się go błagać, aby zrozumiał. I zrozumiał. Była to rola, której się wyuczyła i którą odgrywała przed człowiekiem-zwierzęciem. Udawała, że się uśmiecha do niego, maskowała twarz i przymuszała usta, aby powiedzieć mu, że jest szczęśliwa.

A teraz zwróciła się do Filipa. Usiłowała powiedzieć mu, co oznaczała ta komedia. Wskazywała palcem klęczącego Brama, olbrzymią głowę i szerokie ramiona pochylone nad workiem i niskim, smutnym głosem wymówiła:

— T o s s i, t o s s i, h a n e r t o s s i . . .

Co chciała przez to powiedzieć? Filip napróżno usiłował to odgadnąć. Zrozpaczony tym wskazał palcem stos drzewa. Jego pantomina była jasna. Bram był odwrócony plecami. Czy należy go zabić na miejscu dobrze wymierzonym ciosem?

Ale ona kiwnęła przecząco głową i była tą myślą silnie zaniepokojona. Jęła szeptać niezrozumiałe wyrazy. Potem spojrzała jeszcze raz na Brama i powtórzyła:

— T o s s i, t o s s i, h a n e r t o s s i . . .

W końcu, chcąc, aby ją zrozumiał, podniosła rękę do czoła i oparła o nie swoje delikatne palce. Oczy jej rozszerzały się i myśl jej przenikła do Filipa. Mówiła mu to, o czym już wiedział: że Bram Johnson jest obłąkany.

Potem powtórzyła „Tossi, tossi . . ." pukając w czoło i skinąwszy głową na Brama. Tak, to było to. Twarz młodej dziewczyny złagodniała, jak gdyby pozbyła się

ciężkiego brzemienia. Obawiała się, aby Filip nie zaatakował człowieka-wilka. Teraz zrozumiał, że nie należy mu czynić nic złego i była z tego powodu bardzo szczęśliwa.

Zazdrość dręczyła znów serce Filipa. Zagadka, miast się wyjaśnić, komplikowała się. Czymże więc była ta młoda dziewczyna dla Brama? Wydawało się chwilami, że boi się tego szaleńca, człowieka wyjętego spod prawa, a jednak nie chciała, aby stała mu się jakaś krzywda.

W czasie tej szybkiej rozmowy Bram wydobył swoją żywność i ułożył ją na podłodze.

Oczy młodej dziewczyny zwróciły się teraz w tę stronę. Przebijał się w nich głód! Spojrzenie jej pełne było cierpienia. Była głodna. Odczuwała pragnienie czegoś, coby nie było krwawiącym mięsem, ani tym samym pożywieniem, które jedzą wilki! Oto dlaczego Bram zapuszczał się tak daleko na południe, dlatego zaatakował tak brutalnie Filipa, aby mu wydrzeć żywność. Przeznaczył ją dla młodej dziewczyny.

Filip widział, jak przez dumę kobiecą usiłowała ukryć przed nim szaloną radość na widok przyniesionej przez Brama żywności. Gdyby go tutaj nie było, klęczałaby obok Brama. Wstydziła się obcego. I kiedy wzrok jej spotkał się ze spojrzeniem Filipa, zarumieniła się. Było to wyznanie jej gorącego pożądania, zdradzieckie przyznanie się żołądka, którego krzyku nie mogła zdławić. Czyżby i ona była szalona, podobnie jak Bram i bliska, jak on, stanu zwierzęcego?

Filip zbliżył się szybko do niej i położył rękę na jej ramieniu.

— Spożyjemy śniadanie razem, nieprawdaż? — rzekł do niej.

X.

Bram jest wytworny.

Filip drgnął, uczuwszy pod swoją ręką ciepłe drganie ramienia młodej kobiety. Potem przeląkł się, że poufałość tego gestu podrażni Brama. Odwrócił się do człowieka-wilka i zupełnie naturalnie podał mu drugą rękę.

— Śpieszmy się, Bram, — rzekł, — ona umiera z głodu! Teraz wiem dlaczego zabrałeś mi żywność! Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? Dlaczego nie mówisz? Dlaczego nie powiedziałeś mi, kto ona jest, jak się tu znalazła i czego odemnie żądasz?

Czekał na próżno na odpowiedź Brama, który swoim zwyczajem zadowalał się uporczywym wpatrywaniem się w niego.

— Powtarzam ci, że jestem przyjacielem,—upierał się, — Ja...

Nie dokończył, bo chata zahuczała nagle szaleńczym śmiechem Brama. Śmiech ten był jeszcze bardziej straszny wśród ciasnych ścian tej zamkniętej chaty, niż na Barrenie i wśród lasu świerkowego: Filip czuł, że młoda kobieta zadrżała. Spojrzał na słodką i bladą twarz, która oparła się o jego ramię i mimo wszystko usiłowała uśmiechnąć się do Brama.

Bram śmiał się ciągle i wśród tego śmiechu zbliżył się do pieca i poprawił ogień. Po raz drugi przeniósł Filip wzrok z ametystowych oczu, które patrzyły nań błagalnie, na olbrzymią postać, pochyloną nad piecem Sposobność była wspaniała. Jednym skokiem znajdzie się u gardła outlawa, którego chwyci za kark i zadusi. Dzięki korzystnej pozycji walka będzie conajmniej równa.

I tym razem powstrzymała go młoda kobieta. Zanim jeszcze uczynił jakiś ruch, drobne palce chwyciły go za ramię. Pociągnęła go daleko od człowieka-wilka, szepcząc do niego w swoim niezrozumiałym narzeczu. Bram wstał, odszedł od pieca, chwycił wiadro i nie spojrzawszy nawet na dwoje młodych ludzi, wyszedł z chaty.

Między Filipem a jego towarzyszką nastąpiła chwila zakłopotania. Ta uporczywa uprzejmość względem Brama irytowała Filipa, którego podejrzenia obudziły się na nowo. Nagłym i nerwowym ruchem młoda dziewczyna chwyciła go za rękę i pociągnęła do małego pokoju z drugiej strony kotary, służącego jej za sypialnię.

Mimika jej była jasna. Pokazała mu, co Bram uczynił dla niej, Przeznaczył dla niej odrębny pokój, który sporządził przy pomocy przepierzenia, a celem powiększenia tego pokoju dodał małą przybudówkę, dotykającą chaty. Wąskie drzwi łączyły oba pokoje. Drzewo chaty było jeszcze zielone, podobnie jak drzewo przepierzenia wewnątrz chaty. Jedyne umeblowanie pokoju stanowiło grube krzesło, równie prosty stół, sporządzony z jodły i kilkadziesiąt skór niedźwiedzich, służących za dywany. Na ścianie wisiało kilka sukien, wśród nich skórzana kapotka i szeroki płaszcz z materii, mający zamiast pasa czerwoną wstążkę. Znajdowała się tam również mała paczka, starannie zawinięta.

— Tak, tak, rozumiem, — mówił do siebie Filip, badając swoimi niebieskimi oczyma ametystowe oczy. — Pani

chce mnie przekonać, że nie wolno mi zabijać Brama Johnsona, nawet gdy się do mnie odwróci plecami, ani kiedykolwiek indziej. I pani chce, abym uwierzył, że nigdy pani nie dotknął, że nie domagał się nigdy zapłaty za oddane usługi. Dlaczegoż więc była pani przed chwilą tak blada jak płótno? Prawdopodobnie lęk pani zniknął. Twarzyczka pani jest teraz najróżowsza w świecie i najbardziej urocza. Niechże mi pani wytłumaczy...

Ametystowe oczy błysnęły, gdy go tak słuchała, a smukłe i zgrabne ciało kołysało się rozkosznie.

— Pani szydzi ze mnie dowoli, — mówił dalej, uśmiechając się. — Może potem stanę się takim samym szaleńcem jak Bram. Przyzna pani, że moja przygoda nie jest pospolita. Ruszam w drogę, aby ścigać Indian. Wpadam na obłąkańca. A w chacie tego obłąkańca znajduję panią. Po raz pierwszy stojącą w promieniach słońca, jak anioł przed bramami Piekła. Pani mnie nie rozumie, co? To nic... proponuję pani, aby się pani pozbyła tego szaleńca. A pani odmawia. Opadają mi ręce! Zapłaciłbym chętnie milion dolarów (gdybym je miał), abym mógł zmusić Brama do mówienia. Zapewnia mnie pani, że nigdy nie dotknął? Mój Boże, jak bardzo chciałbym w to uwierzyć!

Ruchoma twarz młodej kobiety odzwierciedlała wszystkie nurtujące ją uczucia. Usiłowała odczytać w oczach Filipa to, co chciał jej powiedzieć, odgadnąć myśl z jego ust.

Jął mówić dalej.

— Znajduje się pani o dobre pięćset mil od ludzi, z takimi włosami i oczyma, jakie pani posiada . . . I w dodatku z włosami takiej barwy! Gdyby Bramowi przyszła ochota przemówić, wytłumaczyłby mi, że pani spadła z księżyca, lub też, że przywiózł tu panią zbłąkany okręt przez nieskończoną dal, aby pani gospodarowała

w jego chacie. No, czyż nie może mi pani nic powiedzieć, kim pani jest i skąd pani przybyła?

Urwał, jakby oczekiwał odpowiedzi. Odpowiedzią tą był uśmiech. A uśmiech ten był wzruszający i miły. Filip czuł, że ogarnia go uczucie gorącej sympatii. Zapomniał, iż Bram może wejść lada chwila, ujął rękę młodej dziewczyny i przycisnął ją do piersi.

— Nie rozumie pani ani słowa z tego, co mówię, nieprawdaż? — mówił dalej. — Nie, ani słowa. Ale powoli rozwikłamy tę gmatwaninę. Wiem tylko jedno, że od czasu, gdy zbłąkany okręt przywiózł panią z księżyca, kładła pani do małych usteczek rano, w południe i wieczorem tylko dzikie mięso Brama. I zapewne jeszcze bez soli! Przed chwilą chciała już pani rzucić się na tę żywność. Ale zagadaliśmy się i zapomnieliśmy o najważniejszym. Jedzmy!

Zaprowadził ją do pierwszego pokoju, ku żywności, rozłożonej na podłodze i pomógł jej zbierać. Potem w jednym z swoich garnków jął przyrządzać potrawę z suszonych kartofli, którą zagrzał w piecu.

— A więc mówiliśmy, że Bram pani nie tknął . . . Uf! Co za ulga dla mnie! Radość, jaką odczuwam, jest wprost niepojęta! Gdyby nie okazał się takim, sądzę, że pani pozwoliłaby mi roztrzaskać mu głowę. To jest jasne.

Oderwał oczy od swojego bigosu. Młoda dziewczyna była rozkoszna. Złoty warkocz zsunął się jej na ramię, napół obnażone. Warkocz ten był gruby, jak pięść Filipa. Nigdy nie sądził, aby włosy kobiece mogły lśnić się tak ciepłymi blaskami.

Potem nagle westchnął i uderzył się w piersi:

— Jestem Filip Brant, — rzekł, — Filip Brant . . . Filip Brant . . . Filip Brant . . .

Powtarzał swoje nazwisko kilkakrotnie, za każdym razem wskazując siebie palcem.

Zrozumienie przejawiło się na twarzy młodej kobiety. Przełamali odrazu dzielącą ich zaporę.

Powtórzyła to nazwisko powoli, wyraźnie. Potem uśmiechnęła się i złożywszy obie dłonie na piersiach, rzekła:

— Cecylia Armin!

Filip chciał wypuścić z rąk kartofle, trzeszczące w tłuszczu i skoczyć przez piec ku „Cecylii Armin". Ale nie puścił z rąk garnka i mieszając kartofle, powtarzał po kilka razy:

— Cecylia Armin!

Kiedy wymawiał to słowo, młoda kobieta potakiwała za każdym razem głową.

Było to nazwisko francuskie i Filip usiłował wypożyczyć sobie z repertuaru Piotra Breaulta kilka potocznych słów, które zapamiętał. Ale dla młodej kobiety i to było chińszczyzną. Więc powiedział jeszcze raz:

— Cecylia!

Niemal w tej samej chwili odpowiedziała:

— Filip!

Rozgardiasz na dworze oznajmiał powrót Brama. Wycia i ujadania sfory wilków, ciężkie stąpanie człowieka-wilka i Bram wszedł.

Nie odwracając wcale głowy Filip gotował dalej, jak gdyby się nic nie stało. Mieszał dalej kartofle. Potem zwrócił się do Cecylii Armin i rzekł, wskazując palcem imbryk:

— Niech się pani zajmie kawą, Cecylio. Śniadanie jest gotowe.

Cecylia wzięła imbryk, obróciła go kilka razy i zbliżyła się do stołu.

Filip patrzał na Brama. Człowiek-wilk stał oparty o stół. Nie ruszając się z miejsca, patrzał ogłupiały i milczący na scenę, którą miał przed oczyma. W jednej ręce trzymał wiadro napełnione śniegiem. W drugiej ręce miał zamrożoną rybę

— Za późno na pańską rybę mister Bram, — rzekł Filip. — Zresztą nie można było pozwolić czekać małej lady. Oceniam to jednak, że pan karmił ją mięsem i rybami aż do znudzenia. Niech pan zasiądzie z nami do śniadania!

Położył na cynowym talerzyku porcję dymiących ziemniaków, okraszonych plackami owsianymi i ryżem, które ugotował przed swoim wymarszem na Barren i ustawił to wszystko przed młodą kobietą. Potem przygotował drugi talerz dla Brama, a trzeci dla siebie.

Bram stał ciągle nieporuszony, trzymając w rękach wiadro i rybę. Nagle postawił jedno i drugie na ziemi z głębokim gardłowym pomrukiem i zbliżył się do stołu. Straszna jego ręka opadła na ramię Filipa i ścisnęła je jak śrubsztak, omal nie łamiąc kości. Spojrzał na młodą kobietę. Potem puścił Filipa i odepchnąwszy go gwałtownym ruchem, przysunął oba talerze do Cecylii.

— Pan zje rybę, m's i e u ! — rzekł.

Słysząc te słowa, możnaby stwierdzić, że nie był nigdy obłąkany. Nagły przybłysk rozumu, pogrążający się w chwilę potem w obłąkanym i ponurym śmiechu, od którego zadrżała chata. Odpowiedział mu na dworze dziki jęk wilków.

Z trudnością zdołał Filip utrzymać swoją powagę wobec tej niezwykłej galanterii. Płomień tryumfu błysnął

w oczach młodej kobiety. Bram był dla niej zawsze dobry i dowiódł tego przed Filipem.

Ale śmiech Brama już ustał. Kiedy Filip przyrządzał rybę, człowiek-zwierzę przykucnął pod murem na sposób Indian. I kiedy młoda kobieta jadła, nie spuszczał z niej oka.

Usmażywszy rybę, Filip przyniósł mu połowę. Mógł ją postawić równie dobrze przed kamiennym lub drewnianym Sfinksem. Bo Bram wstał i wziąwszy resztkę mięsa reniferowego pod pachę, odszedł niewiadomo dlaczego, mrucząc coś niewyraźnie pod nosem.

XI.

W którym młodzi zaczynają się rozumieć.

Zaledwie drzwi zamknęły się za Bramem, gdy Cecylia przybiegła do Filipa i przyprowadziła go do stołu. Jadła sama z trzech talerzy, aby się przypodobać Bramowi. Teraz nalegała, aby wziął ziemniaki i placki i podała mu filiżankę kawy.

Filip uśmiechnął się i miał ochotę przygarnąć do siebie głowę Cecylii i pocałować ją.

— Pani nie chce, abym nie jadł śniadania, nieprawdaż? Ale pani nie rozumie położenia, droga pani. Jadłem już tyle tego przeklętego placka (i wziął kawałek dla lepszego zaznaczenia tego, co chciał powiedzieć), jadłem go przez cały dzień, rano, w południe i wieczorem, czuję wstręt na sam jego widok. Dałbym wszystkie placki świata za kilka zielonych korniszonów, które tak doskonale umiała przyrządzać moja matka! Ryba Brama jest dla mnie prawdziwym przysmakiem, podobnie jak ta kawa, tak doskonale przyrządzona przez panią.

Usiadła naprzeciw niego, podczas gdy on jadł. Kiedy tak jadł, obliczał w duchu, ile może ważyć ta młoda kobieta. Była tak smukła, że zdawało mu się, jakoby nie mogła ważyć więcej niż sto dwadzieścia funtów. Jakże była malutka wśród tych ogromnych przestrzeni! Było jej tu równie obco, jak sukni balowej z crèpe de chine lub

wazie z delikatnej porcelany. Należało rozwiązać zagadkę jej obecności w tej chacie.

Kiedy on chciał wiedzieć, ona chciała również coś powiedzieć. Czytało się to w jej oczach. Piersi jej falowały, gdy wymawiały coś w jakimś języku, gdy chciała wytłumaczyć Filipowi, dlaczego jest tutaj i co winien uczynić dla niej. Wysiłek był wzajemny. Jakże się porozumią?

Ukończywszy śniadanie Filip wstał od stołu i zaprowadził Cecylię do okna. Zobaczyli w zagrodzeniu Brama, rozdzielającego chleb otaczającej go sforze wilków. Filip jął rozplatać warkocz stojącej obok niego młodej kobiety. Rumienił się, gdy palce jego pieściły złoty jedwab jej włosów. Cecylia patrzyła na niego ze zdumieniem. Wziął do ręki kilka włosów i zaplótł je na sposób, w jaki sporządzone były sidła człowieka-wilka, naśladując je, jak umiał najlepiej. Potem pokazał je Cecylii i wskazał palcem Brama.

Młoda kobieta zrozumiała go z łatwością. Odpowiednią mimiką wytłumaczyła mu, że złote sidła zostały istotnie sporządzone z jej włosów, odciętych przez nią lub przez Brama. Odcięto jeszcze kilka kosmyków, bo jest kilka złotych sideł. I odwróciwszy się pokazała Filipowi różne miejsca na głowie, gdzie odcięto jej włosy.

Wyciągnąwszy następnie rękę do niego, zawołała:

— Filip Brant . . . Ameryka!

Potem wskazała siebie i dodała żywo:

— Cecylia Armin . . . Dania!

— Dania! — zawołał Filip. — Czy to prawda? Pani pochodzi z Danii? Z Danii?

Skinęła głową.

— Kobenhavn . . . Dania! — ciągnęła dalej.

Przełożył:

— Kopenhaga . . . Dania! . . . Dzięki Ci Boże! A więc rozmawiamy nareszcie . . . Cecylia Armin, z Kopenhagi, Dania! Ale to mi nie tłumaczy, skąd się pani tu wzięła.

Wskazał palcem podłogę i jednym ruchem ramion cztery ściany chaty.

— W jaki sposób przybyła pani tutaj? — spytał.

Odpowiedziała:

— Kobenhavn . . . Muskwas . . . Saint . . . Petersburg . . . Rusland . . . Sibirian . . . Amerika.

— Kopenhaga . . . Muskwas? (nie rozumiem, ale to nic . . .) Petersburg . . . Rosja . . . Syberia . . . Ameryka — powtórzył, patrząc na nią z niedowierzaniem.— Cecylio, jeśli czuje pani do mnie jakąś sympatię, oszczędź pani mój rozum. Jakże uwierzyć, że opuściwszy Danię, przebyła pani Rosję i Syberię i osiadła w Kanadzie, w środku Barrenu, w tej chacie obłąkańca, opuszczonego przez Boga i ludzi? Pani! Musi w tym być jakaś pomyłka. Zaraz, zobaczmy raczej . . .

Filip przypomniał atlas kieszonkowy, który dostarczyła mu administracja policji z innymi częściami ekwipunku. Na końcu atlasu znajdowała się mała mapa kuli ziemskiej. Rozłożył mapę przed Cecylią, która małym palcem wskazała Kopenhagę. Nachylił się przez głowę młodej kobiety, aby zobaczyć i dotknął piersią jej pięknych włosów. Gdyby się odważył, zatopiłby twarz w złotych włosach. Objąłby rękami głowę Cecylii.

Przed chwilą dręczyło go pytanie, czy przybyła z Kopenhagi, czy z księżyca. Teraz najważniejsze było to,

że ją znalazł. Jak badacz, który dotarł do celu, najchętniej zatańczyłby z radości. Posiadł ją lub prawie posiadł... Wstrzymał oddech i zwrócił wzrok na mapę i na mały paluszek.

Paluszek ten przesunął się następnie ku Moskwie, którą miała być owa Muskwas. Stąd zaś pojechał powoli aż do Petersburga i przebiegłszy Rosję i Syberię, dotarł do Morza Beringa.

— Skunnert, — rzekła cicho.

I paluszek natknął się na mapie na zieloną plamę, którą była Alaska.

Tutaj paluszek zatrzymał się. Jasne było, że Cecylia zastanawiała się, którędy mogła przejść. Mapa nie mogła jej już udzielić żadnej pomocy. Po chwili wahania pociągnęła Filipa do okna i pokazała mu wilki. Alaska. Potem wilki, a raczej psy i sanki.

Filip skinął głową. Był u szczytu radości. Nazywała się Cecylia Armin, z Kopenhagi, Dania, i przybyła na Alaskę. Potem podróżowała sankami, zaprzężonymi w psy.

I teraz próbowała powiedzieć mu, dlaczego przybyła, jakie wydarzenia oddały ją w ręce Brama Johnsona. Odwróciwszy się do okna plecami, mówiła, gestykulowała i niemal łkała pod wpływem wzruszenia, które na nowo wzburzyło jej twarz. Opowiadała zapewne o strasznej tragedii, którą Filip odgadł od pierwszej chwili. Mówiła i mówiła, załamując ręce. A kiedy skończyła, rozłkała się głośno, zakrywając twarz obiema rękami.

Na dworze, w ogrodzeniu, słychać było śmiech Brama Johnsona.

Śmiech ten brzmiał jak obelga i szyderstwo. Krew zawrzała w Filipie. Skoczył ku piecowi, wyjął z niego długą płonącą żerdź, pobiegł ku drzwiom chaty, otworzył je i wybiegł na dwór.

W tej samej chwili rozległ się za nim przeraźliwy krzyk, będący rozpaczliwym błaganiem. A równocześnie ujrzał sforę wilków, kłębiącą się czarną masą na końcu ogrodzenia. Ale tym razem głos Brama Johnsona nie zatrzymał ich. Patrzał spokojnie na tę scenę, gdy Cecylii krew marzła w żyłach. Krzyknęła znów, a krzykowi temu odpowiedział ponury śmiech człowieka-wilka.

Filip nie przeraził się niebezpieczeństwa. Wywijając palącą się głownią, zakręcił nią kilka razy nad głową i cisnął między wilki. Wsród bestyj powstało na chwilę zamieszanie, z czego skorzystał Filip i szybko cofnął się w głąb chaty. Jak błyskawica zatrzasnął za sobą drzwi i zaryglował.

Był jeszcze czas! W chwilę potem sfora wilków zwaliła się na drzwi. Pod ciężarem ich ciał chata drżała i słychać było wściekłe ich ujadanie. Filip spojrzał na Cecylię. Twarz jej była niemal sina. Odwróciła się, aby ukryć wzruszenie, a z ust jej wyrwało się krótkie, nerwowe łkanie.

Filip zrozumiał swoją nieroztropność i myśl Cecylii. Gdyby go wilki chwyciły, zgasłaby ostatnia nadzieja młodej dziewczyny. Wyciągnęła ku niemu słodką twarz, pełną radości i odpłaciła mu za bohaterski czyn gorącym uśmiechem.

— Cecylio, rzekł ochrypłym głosem, ściskając w swoich rękach jej drżące, małe rączki, — Cecylio, moja mała tajemnicza kobietko, jestem prawie szczęśliwy, że nie możesz mnie zrozumieć. Zapewne śmiałabyś się z moich słów. Nie upłynął jeszcze dzień od chwili, gdy ciebie poznałem A już kocham cię. Nigdy jeszcze, wobec żadnej kobiety, nie czułem tego co odczuwam wobec ciebie. Nigdy jeszcze nie pragnąłem tak żadnej kobiety. Kocham cię i nie po-

winnaś o tym wiedzieć. Pragnienie moje, zupełnie czyste, wydałoby ci się zwierzęce, a przerażone twoje serce widziałoby we mnie tylko drugiego Brama Johnsona.

Na dworze słychać było Brama, rozmawiającego z wilkami w swoim niezrozumiałym narzeczu eskimoskim. Odpędzał je od drzwi, gdzie warowały, przykucnąwszy na progu i mruczały z niezadowolenia, kąsając się wzajemnie. Filip puścił ręce Cecylii i odryglował drzwi, podczas gdy ręka człowieka-wilka szukała rygla.

Bram wszedł.

Nie wiedząc, co nastąpi, Filip naprężył muskuły, gotów na wszelką ewentualność. Ale ku wielkiemu jego zdumieniu Bram był zupełnie obojętny. Bełkotał coś i mamrotał pod nosem, rozbawiony widokiem tego, na co patrzał. Paznokcie Cecylii wpiły się w ramię Filipa. Nie była zupełnie spokojna i wzrok jej zdradzał przerażenie. Wyszła nagle i weszła do swojego pokoju. Upłynęła potem chwila. Bram bełkotał dalej, nie zważając zupełnie na Filipa.

Cecylia pojawiła się znowu i zbliżyła się do człowieka-wilka. Trzymała w ręce malutki warkoczyk jedwabny i złoty, który pokazała Bramowi.

Bram przestał mruczeć. Ponura jego twarz rozchmurzyła się i wpadła w zachwyt. W tej samej chwili wyciągnął ku błyszczącemu warkoczowi swoją potężną i niekształtną rękę. Włosy jej były dla niego groźnym i straszliwym fetyszem.

Młoda kobieta zaczęła się śmiać. Oto dzięki temu fetyszowi, pomyślał Filip, olbrzym oszczędzał go od chwili, gdy go miał w swojej mocy. A jednak, ileż to razy mógł go zabić! A może nie rozumiał, jaki skarb posiadał?

Zadowolony olbrzym jął znów mruczeć cicho. Było to niemal gruchanie. Usiadł na ziemi, pod ścianą, skrzyżował nogi i rozdzieliwszy warkocz na trzy małe warkoczyki, jął sporządzać nowe sidła. Uspokojona Cecylia wróciła znów do swojego pokoju. Po tych gwałtownych wzruszeniach odczuwała potrzebę odpoczynku bez świadków.

Filip skorzystał z jej nieobecności i wyjął z torby przybory toaletowe. Oglądnął się w lustrze i przeraził się siebie samego. Z kosmatą swoją brodą był istotnie tak mało miły, że zrozumiał, dlaczego Cecylia cofnęła się z przestrachem, ujrzawszy go po raz pierwszy. Po upływie pół godziny był starannie ogolony. Tymczasem Bram zajęty był swoją pracą i nie podniósł oczu, dopóki jej nie skończył. Wtedy wstał i odszedł, nie powiedziawszy ani słowa.

Cecylia wróciła i pierwszą rzecz, którą zauważyła, była zmiana na twarzy Filipa. Dała wyraz swojemu zadowoleniu i Filip zarumienił się.

Oglądali przez okno Brama. Ów przywołał swoje wilki i odszedł z nimi ku bramie ogrodzenia. Wziął ze sobą narty i bicz. Przeszedłszy bramę, wypuścił dziesięć wilków z dwudziestu, a resztę zamknął.

Cecylia zbliżyła się do stołu i Filip zobaczył, że przyniosła z sobą z pokoju ołówek i kawałek papieru. Po chwili podała mu z tryumfem papier. Narysowana była na nim wielka głowa renifera. Oznaczało to, że Bram pojechał na polowanie. Filip jął się śmiać. Rysunek był nowym sposobem porozumiewania się i objaśnienia.

Nie było to jednak wcale wesołe, że Bram, wychodząc z ogrodzenia, pozostawił w nim połowę swojej sfory. Nie należało się łudzić. Cecylia i on nie byli gośćmi szaleńca. Byli jego więźniami.

XII.

Nagły i tajemniczy napad.

Noc przeszła bez żadnych wydarzeń. Była to pierwsza noc, którą w spokojnym towarzystwie Cecylii przebył Filip w chacie Brama. Miała to być również ostatnia.

Nazajutrz, zanim młoda kobieta wyszła ze swego pokoju, Filip rozważył wszystkie wypadki, w których brał udział. A więc najpierw, czy Bram był istotnie obłąkany? A może tylko udawał? Jeśli człowiek-wilk nienawidził go, żądza zemsty mogła tlić w nim długo, zanim wybuchnie. Filip przypomniał sobie słowa, które wypowiedział pewnego dnia jeden z jego przyjaciół, słynny psychiatra: „Obłąkaniec nie zapomina nigdy!" Ogarnięty raz jakąś myślą, wariat nie pozbywa się jej nigdy. Jest ona dla niego jakby nieustanną udręką. Tworzy nawet część jego ciała. W udręczonym jego umyśle nie umiera najmniejsze podejrzenie w stosunku do wroga. Ogień tli, aby kiedyś silniej wybuchnąć. Nienawiść obłąkańca jest wieczna.

Bram zamierzał go już zabić, aby zagarnąć całą żywność, aż do ostatniej kruszyny, którą przeznaczył dla młodej kobiety. Teraz odszedł, pozostawiając żywność i więźnia. Można było tylko stwierdzić z całą pewnością, że nie pałał do Cecylii żadną żądzą cielesną. Gdyby ją kochał miłością gwałtowną, zmysłową, nie pozostawiłby

jej samej z swoim ewentualnym rywalem. A ów płomień, który rozbłyskał niekiedy w jego spojrzeniu, to było nabożne i milczące uwielbienie, pełne szacunku dla Cecylii.

Rezultatem tych rozważań była myśl, że mimo nieustannych protestów młodej kobiety, należało zabić Brama przy pierwszej sposobności. Zaniechał już zbyt wiele dogodnych chwil.

Kiedy tymczasem weszła Cecylia zdawało się Filipowi, że odgadła wszystkie tajemne jego myśli. Nie powiedział jednak nic, ale jął oglądać przed nią dokładnie mieszkanie Brama.

— Zapewne, Cecylio, oglądnęłaś sama przede mną całe mieszkanie. Ale moim obowiązkiem jest skontrolować twoje puszukiwania. Któż wie, może znajdę coś, czego nie zauważyłaś, a co może nas zaciekawić.

Przy pomocy młodej kobiety jął badać sumiennie chatę aż do najdrobniejszych zakątków. Przetrząsnął nawet podłogę, podnosząc rozrzucone deski. Po godzinie poszukiwania jego okazały się bezowocne, gdy nagle wydał okrzyk radości. Pod brudnym kocem znalazł służbowy rewolwer Colta. Ale rewolwer był pusty i nie było nigdzie nabojów.

Pozostawał tylko do przeszukania mały kącik, służący Bramowi za sypialnię. Znalazł w niej Filip tylko troje sideł, sporządzonych z włosów Cecylii.

— Nię ruszajmy ich, — rzekł, przypatrzywszy się im ze wzruszeniem i nakrywszy je z powrotem skórą niedźwiedzią. — Zwyczaj zakazuje wprowadzać nieład do łóżka innego . . .

Potem rzekł:

— Nie zostawił mi nawet noża, którego używa do krajania mięsa. Ciekaw jestem, czy jest równie ostrożny, gdy zostajesz tu sama. Ani broni ani nawet nic podobnego.

Wilki czyniły na dworze, w ogrodzeniu, nieustanny hałas. Dwa biły się zażarcie. Filip zbliżył się do okna, aby się im przypatrzeć. Byli to groźni strażnicy, których Bram pozostawił dla pilnowania ich. I Filip zastanawiał się, co uczynić z tymi bestiami, jeśli nawet uda mu się zabić Brama lub uwięzić go. Jeśli Bram wejdzie do środka ze strzelbą, wszystko będzie dobrze. Wystrzela wilki, jednego po drugim. Ale czyż Bram nie wchodzi nigdy ze strzelbą?

Dwa wilki biły się nadal. Inne tworzyły dokoła nich koło, z wyjątkiem jednego, olbrzymiego, który skorzystawszy z walki, chwycił kość i usiadłszy w kącie ogryzał ją z resztek mięsa. Słychać było potężne zgrzytanie jego paszczy.

— Wiem! — zawołał Filip. — Wilki, podobnie jak ludzie, muszą jeść, aby żyć. Kiedy pokonam Brama, wygłodzę wilki na śmierć! Potrwa to tydzień, może trochę dłużej. Jest to kwestia cierpliwości. Ale my przetrwamy! Cecylia musi to zrozumieć. Trzeba koniecznie poświęcić najpierw Brama.

Właśnie Cecylia przywołała go do siebie. Zbliżył się do niej. Przyniosła z swojego pokoju małe kawałki papieru, rozłożyła je na stole i wydawała się bardzo wzruszona. Filip zrozumiał z łatwością, że owych ośm czy dziesięć papierków, z których każdy posiadał rysunek, miało, w pojęciu Cecylii zastąpić między nimi słowa i wyjaśnić to, czego nie mogła wypowiedzieć inaczej.

Wymówiła znów jego imię: „Filip!" jakby szeptem swoich czułych ust, kołysząc swoje smukłe ciało, jak to uczyniła po raz pierwszy, wtedy, gdy ukazała się Filipowi w promieniu słońca. Wydawało mu się to niewypowiedzenie dziwne, że go tak wołała, jak gdyby znali się już bardzo długo.

Nachyliwszy się nad papierami Filip zauważył, że były pobrukane i zniszczone, jak gdyby oddawna już miała je w rękach. Opowiadały one osobistą historię młodej kobiety.

— Wiem, narysowałaś je własnoręcznie do użytku Brama, — rzekł. — Okręty, psy, ludzie, walki, dużo walk... Przypatrzmy się temu bliżej...

Cecylia drżała zadyszana, sądząc, że jest zrozumiana.

Filip, którego serce biło nie mniej silnie, ciągnął dalej:

— Tutaj, to „ty", w środku tego pierwszego rysunku. To ty, z twoimi rozburzonymi włosami, walcząca z grupą ludzi, którzy chcą jakby zabić cię razami batów. Ależ, na Boga, co to oznacza? A tutaj, w górze, w rogu, okręt. Z tego okrętu wysiadłaś ty, nieprawdaż? Z okrętu, z okrętu, z okrętu . . .

— Skunnert! — zawołała, dotykając okrętu palcem. — Skunnert . . . Siberien! . . .

— Szuner . . . [1]) Syberia! — przełożył Filip. — To się tak nazywa, moja Cecylio. Spójrz tutaj.

Wyjął swój atlasik kieszonkowy i otworzył go.

— Zacznijmy nasze studia i rozważajmy.

Jak poprzedniego dnia dwa ciała przytulały się drżące do siebie, w namiętnym szukaniu po atlasie. Pod zgięte ramię Filipa Cecylia wetknęła głowę i usta młodego człowieka dotykały niemal jej jedwabnych włosów. Serca obojga biły głośno wśród dookolnej ciszy. Naraz Cecylia odsunęła się nieco i wskazała mapę . . .

---

[1]) Dwumasztowy, lekko spławny statek.

Okręt wypłynął z ujścia rzeki „Lena" na Syberii i popłynął wzdłuż brzegu aż do błękitnego miejsca, oznaczającego Ocean, naprzeciw Alaski. Tutaj mały paluszek zatrzymał się i z wyrazem rozpaczy Cecylia dała Filipowi do zrozumienia, że nie zna dalszej drogi. W pewnym miejscu na tej błękitnej przestrzeni, okręt zawadził o wybrzeże amerykańskie.

Przeszedł do innych papierów, przedstawiających liczne walki, których właściwego znaczenia nie mógł Filip zrozumieć. Wtedy młoda kobieta pokazała mu ostatni rysunek z olbrzymem, otoczonym sforą zwierząt. Był to portret Brama i jego wilków. I dopiero teraz Filip zrozumiał, dlaczego nie chciała, aby Bramowi spadł choćby włos z głowy. Bram wyratował ją z nieszczęśliwego położenia, które przedstawiały inne małe rysunki. On to ochronił ją i zabrał aż do tej kryjówki, gdzie więził ją dla powodu, którego rysunki nie mogły wytłumaczyć.

Wiele jeszcze tajemniczych szczegółów zawierała historia Cecylii. Dlaczego poszła na Syberię? Kto skierował jej okręt ku niegościnnym wybrzeżom Alaski? Któż to byli ci nieznani nieprzyjaciele, od których uratował ją Bram?

Filip wziął do ręki jeden z rysunków, który Cecylia zmięła. Przedstawiał on dwie osoby. Jedną z nich była ona sama; drugą był mężczyzna. Młoda kobieta narysowała siebie w długotrwałym uścisku owego mężczyzny. Filip spojrzał na Cecylię. Oczy jej napełniły się łzami.

Filip uczuł, że zimno mrozi mu serce. Od chwili gdy znalazł ją w chacie Brama Johnsona, gdy losy ich obojga złączyły się w tragicznej przygodzie, która przykuwała ich do tego smutnego miejsca, do tej samotni, wiążąc ich i jednocząc ze sobą, wyobraźnia jego obudziła



Był to rodzaj lancy, która przeszyła wilka na wylot!

się. Palący płomień ogarnął jego piersi. Ale oto cała jego nadzieja rozpadała się w gruzy. Kochała bezwątpienia innego. . .

Filip odwrócił głowę. Udręczona jego dusza zasmuciła się. Groza obecnej chwili ujawniła się w całej swej nagości. Jakież to nowe czeka ich nieszczęście?

Zbliżył się powoli do okna, aby ukryć swój lęk i wyglądnął na dwór. Prawie w tej chwili usłyszała Cecylia jego straszny krzyk. Przybiegła do niego. Filip wypuścił z rąk papierek, który przyniósł ze sobą i ręce ich wpiły się kurczowo w ramy okna. Patrzał jak ogłupiały.

— Patrz! — rzekł. — Och, mój Boże! Patrz!

Chociaż nie usłyszeli żadnego dźwięku wśród tej niezmierzonej ciszy, zobaczyli na zbrukanym śniegu wielkiego wilka, który przed chwilą gryzł kość, rozciągniętego w całej swej okazałości na ziemi i martwego. Nie poruszał się żaden muskuł jego ciała. Ściągnięte jego wargi odsłaniały potężne kły, a pod głową czerniała plama krwi.

Ale bardziej jeszcze, niż nagła śmierć zwierzęcia, zeniepokoiła Filipa broń, od której zginęło. Był to rodzaj lancy, która przeszyła wilka na wylot!

Filip poznał natychmiast, że była to harpuna, cienka i wydłużona, straszny dziryt, którym posługuje się tylko jedyny lud na Northlandzie: morderczy szczep, o czarnej twarzy, Kogmollokowie, żyjący nad brzegami zatoki i ziemi Wollastona.

— Nie patrz się, Cecylio! — zawołał.

I ściągnął ją daleko od okna.

XIII.

Kogmollokowie.

Kogmollokowie! Najokrutniejsi, mali demoni, o sercach zimniejszych niż lody, wśród których żyją!

— Wybacz, moja droga, mój gwałtowny ruch i krzyk, który mi się wyrwał z ust, — rzekł Filip. — Ale nawet na drugim końcu świata poznałbym tę broń. Widziałem jak wyrzucali ją, jak strzałę, na odległość stu jardów. Nie mają sobie równych w zaciekłości wojennej, jak również w łowieniu kobiet i sprzedawaniu ich. I mam wrażenie, że pilnują okna.

Ale Cecylia, nie rozumiejąc nawet, co on mówi, była nie mniej przerażona widokiem martwego wilka i dzirytu, tkwiącego w jego ciele. Chwyciła jeden z rysunków, leżących na stole i podała go Filipowi. Był to jeden z tych, na którym przedstawiona była walka.

Wszystko się wyjaśniło.

— A więc, — rzekł drżącym głosem, — ciebie chcą dostać. Umierają z pragnienia. Nie przypuszczałbym, aby się zapędzili tak daleko na południe. Nabili sobie tobą głowę.

Spojrzenie Cecylii nabrało znów śmiałości, widząc jej spokój, Filip odzyskał zimną krew. Oczy młodej ko-

biety jaśniały wiarą, jaką pokładała w swoim towarzyszu niedoli. Czuła się odważniejsza, bo wiedziała, że on jest odważny.

— Lubię ciebie taką, — rzekł.

I ciągle mówiąc, nie przestawał obserwować okna, spodziewając się, że lada chwila dziryt wpadnie do wnętrza wśród brzęku rozbitych szyb.

— Jesteśmy teraz w pułapce! Mogę to powiedzieć głośno, bez obawy przestraszenia ciebie, bo mnie nie rozumiesz! Eskimos nierówny Eskimosowi. Jedni, jak Nunatalmuci, lub inne jakieś plemię, są to ludzie dobrzy. Ale Kogmollokowie są to wierutni bandyci. Z powodu swojej zręczności w nastawianiu sideł, zasadzek i wilczych dołów, są gorsi niż dzicy z Filipin. Ścigali was po tropie, ciebie i Brama, od najdalszej północy i Bóg wie, co dałbym za to, że Bram nie wróci z polowania na renifera. Może już w tej minucie leży przeszyty dzirytem.

Kiedy tak mówił, Cecylia uśmiechała się do niego nieustannie. Zrobiła ruch, jak gdyby chciała zbliżyć się do okna. Zatrzymał ją i w tej samej chwili rozległy się w ogrodzeniu dzikie ujadania wilków. Ubłagawszy ją spojrzeniem, aby została przy stole, sam zbliżył się do okna.

Wilki zgromadziły się koło bramy ogrodzenia, mającej zakratowane okno i raz po raz skakały ku jodłowym belkom, które ich więziły. Między chatą a palisadą ogrodzenia leżał na śniegu drugi trup wilka. Eskimosi urządzili zapewne zasadzkę na Brama i sądzili, że młoda kobieta znajduje się w chacie sama. Ponieważ lękali się wilków obłąkańca, postanowili wytępić je kolejno razami dzirytów.

Kiedy Filip przypatrywał się, nad palisadą pojawiła się głowa i para ramion, potem wynurzyła się ręka i dziryt,

szybki jak błysk promienia, poleciał w kierunku sfory wilków. Niemniej szybko zniknęła głowa i para ramion rzucającego lancę.

Filip odwrócił się i ujrzał, że Cecylia przekradła się tuż koło niego. Była również świadkiem tego, co się stało. Chwyciła go za ramię i uczuł, jak jej palce ścisnęły go kurczowo, a z piersi jej wyrwał się nagle zgłuszony krzyk. Potem pobiegła do swojego pokoju i wróciła po chwili z jakimś przedmiotem, który wręczyła Filipowi.

Był to malutki rewolwer, prawdziwa zabawka dla dzieci, którą w innych okolicznościach ubawiłby się do syta. Rewolwer był kalibru 22, posiadał wszystkie naboje, których kule mogły zabić kuropatwę na piętnaście do dwadzieścia kroków, jeśli kuropatwa pozwoliłaby na to. Ale broń ta, jakakolwiek była, wartała więcej, niźli nic. Choćby nie dała żadnego rezultatu, mogła wywołać wrażenie swoim hukiem i jeśliby nie trafiła Eskimosa, mogła go napełnić strachem. Dwa lub trzy strzały i pojawienie się Filipa, ostrzegą napastników, że Cecylia nie jest sama, że jest z nią mężczyzna, który ją broni i, że mężczyzna ten jest uzbrojony.

Filip podziękował Bogu za zesłaną pomoc. Trzeci dziryt Eskimosa przeszył trzeciego wilka i zwierzę wiło się z jękiem po śniegu, wlokąc za sobą morderczy ślad. Pozostałych siedm wilków wykonywało dalej swoje susy i skoki. Filip usadowił się dla obserwacji za drzwiami chaty, które odchylił lekko.

Nagle Cecylia, która stała tuż koło niego i zrozumiała jego postępowanie, pchnęła go łokciem. Nad palisadą wynurzyła się powoli czarna głowa.

Szybko jak wiatr Filip wypadł na dwór i w chwili, gdy ramię rzuciło dziryt, wydał tak przeraźliwy okrzyk

wojenny, iż niemal ochrypł. W tej samej chwili strzelił z rewolweru. Głowa i ramię zniknęły i Eskimos zapadł się za palisadą jak diabeł w piekle. Ale wilki rzuciły się już na Filipa, warcząc zajadle. Jednym skokiem znalazł się we wnętrzu chaty i odtrąciwszy Cecylię, zamknął drzwi.

— Ach tak! Mamy się z pyszna! — rzekł, śmiejąc się, gdy na dworze rozlegał się zaciekły ryk wilków.

Ramię jego objęło wpół Cecylię i jął mówić dalej:

— Szkoda, że ci głupcy nie rozumieją, jaki to wspólny interes łączy nas w chęci zabicia Brama! Gdyby tylko chcieli nam trochę pomóc, byłby to świetny kawał. Czy widziałaś, jak ten towarzysz stoczył się z palisady? Jestem pewny, że go nawet nie trafiłem. A nawet przysiągłbym na to. Gdyby ta banda dowiedziała się, że nasze kule są tak wielkie, jak groszek, i co więcej, że zadają rany nie większe od ukłucia owada, wpadliby na nas jak stado wron i rozszarpaliby nas w kawałki. Co to za doskonały strzał! Słyszałaś go?

Pochłonięta grożącym obojgu niebezpieczeństwem Cecylia nie czuła uścisku ramion Filipa, a Filip korzystał z tego, aby uścisk ten był jeszcze wyraźniejszy i czulszy. Podwójne wzruszenie, spowodowane niebezpieczeństwem i miłością, oblało jego twarz rumieńcem.

— Chwila jest poważna, — rzekł tonem, który wywarłby wrażenie na Cecylii, gdyby go rozumiała. — Co się z nami stanie? Kiedy padną wszystkie wilki i jeśli Bram zginął jak one, te diabły z twarzą ropuchy wyłamią bramę ogrodzenia i zaatakują chatę . . . Jestem dość silny, aby wypowiedzieć walkę nawet dwudziestu takim. Miłość dla ciebie, pragnienie posiadania ciebie, podwoiły moje siły. Ale w chwili, gdy to uczynię, chciałbym wie-

dzieć, kim jest ów mężczyzna na obrazku . . . W ostatnich chwilach, które nam zostają przed wielką bitwą, pragnąłbym przycisnąć ciebie do serca, obsypać cię pocałunkami, abyś znała całe moje uczucie dla ciebie. Kocham cię od stóp do głowy. Lękam się, aby to nie było zbyt późno i abyś nie wzgardziła mną . . .

Potem nastąpiła reakcja i ramię jego zsunęło się z bioder Cecylii. Podjął papierek, który przed chwilą zmięła, rozwinął go machinalnie i wygładził.

— Kim może być ten mężczyzna? Jeśli go nie kochasz, dlaczego obejmujesz go tak czule?

Zrozumiała, że w jego spojrzeniu i głosie kryło się nowe zapytanie. Myśl jej napięła się, chcąc przeniknąć jego myśl i spojrzeć do jego duszy.

Podał jej rysunek. Może intuicja kobieca Cecylii, myślał, jeszcze raz przełamie dzielącą ich zaporę milczenia. Widział, jak przyglądała się długo rysunkowi, potem fioletowy błękit jej oczu zabłysnął tak czystym i jasnym światłem, iż niemal w nim zatonął. I istotnie odgadła.

— Min fader, — rzekła spokojnie, kładąc na rysunku koniuszek swojego palca. — Min fader.

Filip myślał niemal, że powiedziała to po angielsku.

— Your father? [1]) — zawołał.

Skinęła potakująco głową.

— Oo-ee min fader — potwierdziła.

Westchnienie, pełne ulgi, wydarło się z piersi Filipa.

— Chwała Ci Panie! — rzekł.

A potem, prawie natychmiast:

— Czy mamy jeszcze naboje? Ha! Ha! Ha! Czuję, że nawet tym malutkim rewolwerem mogę teraz pokonać cały świat!

---

1) Father — ojciec.

XIV.

Co przyniosła burza.

Filip ledwo zdołał pohamować swoją radość. Zapomniał o Bramie, wilkach, Eskimosach i o okropności rozpaczliwego położenia. „Jej ojciec!" Chiał krzyczeć ze szczęścia, tańczyć po pokoju, porwać Cecylię w ramiona.

Ale powstrzymał się. Lękał się zobaczyć w jej ametystowych, przepastnych oczach wyraz dumy, gdyby posunął się zbyt daleko. Omal nie zdradził się już, gdy rzuciła mu pytające spojrzenie, mówiąc, że obraz ten przedstawia jej ojca. Była zdumiona jego wzruszeniem i jego nagłą radością. Z pewnością zrozumiała go. I z niewymowną radością myślał Filip o tym, że mężczyzna i kobieta mogą się urodzić na przeciwległych biegunach ziemi, nie mieć wspólnego języka, a jednak czuć w swoich sercach bicie tego samego uczucia. Był to jakby wyższy stopień szczęścia.

Wtedy zmienił temat rozmowy i zaczął mówić o nabojach.

Cecylia wytłumaczyła mu za pomocą znaków, że nie posiada w zapasie żadnych naboi. Zostały tylko cztery, które tkwiły w rewolwerze. Tęgi kij okazałby się bardziej użyteczny w razie napadu Eskimosów i jął szukać jakiegoś bardziej giętkiego i odpowiedniego narzędzia, niż polana, przeznaczone do palenia w piecu. Wyrwał w

końcu z ściany małego jodlaka, poprzecznie spojonego. Gładkie i okrągłe drzewce, długości czterech stóp, miało jeden z końców gruby jak jego pięść.

Na drugim końcu było rozszczepione.

Chwyciwszy ten potężny kij za cienki koniec, zamachnął się nim w powietrzu i zawinął dokoła pokoju.

— Teraz możemy ich przyjąć, — rzekł. — Jeśli nie podpalą domu, nie zmuszą nas do opuszczenia go. A tych drzwi nie przekroczą, Bóg świadkiem, Cecylio!

Był tak podniecony i orgarnięty żądzą zabicia każdego Eskimosa, któryby się znalazł w obrębie jego kija, że Cecylia wybuchnęła urywanym, dźwięcznym śmiechem.

Usłyszawszy jej śmiech Filip przestał wywijać kijem i rzekł:

Uściśnijmy sobie dłonie, Cecylio. Wszak jesteśmy towarzyszami, nieprawdaż?

Podała mu bez wahania swoją rękę, którą uścisnął serdecznie. I jakakolwiek śmierć czyhała koło nich, uśmiechnęli. się. Cecylia odeszła potem do swojego pokoju i Filip nie widział jej przez przeciąg pół godziny.

Spojrzał na ogrodzenie i na wilki. Rozprószyły się znowu i uspokoiły się. Wywnioskował z tego, że tajemniczy goście zniknęli. Dzikie zwierzęta, których chciał się wpierw pozbyć, stały się najgorliwszymi jego opiekunami. Zostało ich siedm i zapewne ostrzegą go, gdy się zjawią znów Eskimosi.

Napastnicy byli bez wątpienia bardzo nieliczni. Walka z wilkami prowadzona była dosyć niedbale, a obecnie przerwali ją. Filip sądził, że miał do czynienia jedynie z wywiadowcami, w liczbie trzech lub czterech ludzi.

Jeśli Bram istotnie wpadł w zasadzkę i konał gdzieś z dzirytem w ciele, Kogmollokowie, sądząc, że Cecylia

jest sama, musieli wysłać kilku wywiadowców, celem porwania jej i zwycięskiego uprowadzenia. Ale natknęli się w chacie na opór, nie tylko ze strony wilków, ale również ze strony jakiegoś nieznajomego człowieka, dobrze uzbrojonego. Poszli więc po posiłki. Najlepszym wyjściem z tej sytuacji byłaby natychmiastowa ucieczka. Ale między chatą a wolnością znajdowało się siedm dzikich wilków!

Na dworze zapadała noc. Nieprzejrzyste niebo zniżało się. Za chwilę wybuchnie burza. Przewidzieli to Eskimosi. Widzieli, że wiatr i śnieg szybko zatrą ich ślady, gdyby ktoś chciał ich ścigać po uprowadzeniu Cecylii.

Mali barbarzyńcy północy nie dopuszczali się po raz pierwszy występku. — Ubiegłego roku, na wybrzeżu, graniczącym z Oceanem Lodowatym, Kogmollokowie zabili kilkunastu białych, wśród nich dwu badaczy amerykańskich i jednego misjonarza. Policja wysłała w pościg za nimi trzy patrole w kierunku Zatoki Couronnement i Kanału Bathursta.

Jeden z nich, prowadzony przez Olafa Andersona Szweda, nie wrócił jeszcze. Kiedy Filip opuszczał twierdzę Churchilla, udając się na Barren, rozeszła się wieść, że Olaf i jego towarzysze zostali zabici. Nic więc dziwnego, że dzicy Eskimosi mogli napaść na ojca Cecylii Armin i na wszystkich tych, którzy z nim wylądowali. Nęciła ich przyjemność przelania krwi białych i grabież ich mienia. Z góry więc przeznaczyli ich jako swoje ofiary. Ale zuchwałość i zaciekłość Eskimosów, zapuszczających się tak daleko w pościgu za Cecylią, w okolice, które odwiedzali bardzo rzadko, była dla Filipa niezrozumiała.

Przerwało mu te rozważania gwałtowne i ponure nadciąganie burzy. Ciągnęła ona z jednego krańca nieba ku północnemu wschodowi i rozpościerała się jak olbrzymia chusta żałobna. Gromadziły się chmury, zakrywając

światło dnia i powodując przedwczesną noc. Zimno było przejmujące. Dokoła ogrodzenia nie poruszała się ani jedna sylwetka jodły. Filip chciał już zawołać Cecylię, aby razem z nim oglądała przedziwne zjawisko. Wilki zmieniły się już w mgliste cienie, ledwie widoczne w mroku.

Zajęty swoimi rozważaniami Filip nie słyszał, jak Cecylia wyszła z swojego pokoju i zbliżyła się do niego. Nie zauważył obecności jej, aż do chwili, gdy stanęła koło niego.

Ów zalew nocy, jakby ogarniający cały wszechświat, zbliżył ich do siebie w przerażającym lęku. Nie mówiąc ani słowa Filip znalazł w ciemności rękę Cecylii i uścisnął ją gorąco.

Słyszeli w ciszy najpierw jakby szelest. Głuchy i daleki szelest, jak gdyby pełzała z końca świata jakaś istota żyjąca. Szelest ten rósł coraz bardziej i stał się wkrótce tak niezmierny, że orgarnął niebo i ziemię. Była to nieskończona skarga, rozdzierający serce płacz. Rozpościerał się jeszcze, kiedy pierwszy powiew wiatru przebiegł nad chatą.

Och, te burze na Barrenie! Nie ma do nich podobnych na całej kuli ziemskiej. W żadnym miejscu hałas potworna wrzawa nie jest wypełniona głosami ludzkimi.

Nieraz już poznał Filip ich okropność. Słyszał już te dzikie jęki płynących chmur, jak gdyby sto tysięcy dzieci płakało i zgrzytało zębami. Słyszał, jak gdyby ciemności napełniały się armią śmiejących się i wyjących szaleńców, porwanych szałem obłąkania i owe krzyki niewidzialnych ludzi, wrzaskliwe łkania rozpaczających kobiet. Niektórzy poszaleli z tego. W ciągu długiej nocy zimowej, kiedy słońce znika na pięć miesięcy, nawet umysł małych Eskimosów walczy z tym obłąkaniem i zabijają się wzajemnie wskutek tej okrutnej burzy.

Teraz huragan huczał całą piersią nad chatą. Ciemność była tak nieprzejrzana, że Filip widział tylko w okalającej czerni bladą maskę twarzy młodej dziewczyny. Ale czuł drganie jej ciała. Wydawoło mu się, że znają się już oddawna i że oboje już od miesięcy należą do siebie duszą i ciałem. Ramiona Filipa rozwarły się.

Cecylia rzuciła się w nie. Padła w nie bez sił i oporu i trwała w nich, pogrążona w nieprzejrzanych ciemnościach. Dusza Filipa poderwała się do lotu i pognała w dzikiej ekstazie na skrzydłach burzy.

Przyciągnął do siebie Cecylję i rzekł do niej:

— Nic, moja droga, nie zdoła nas pokonać, Nic, nic, nic...

W tym jednym słowie „ nic" zawarło się wszystko, co tylekroć powtarzał, przytulając Cecylię do piersi tak silnie iż czuł bicie jej serca.

Nachylił ku niej głowę. Twarz Cecylii zwrócona była ku jego twarzy i nagle Filip uczuł na swoich ustach drżące dotknięcie słodkich i gorących ust młodej dziewczyny. Całował ją długo, nie czując z jej strony oporu. Ogień ich dwojga twarzy płonął wśród czarnej nocy.

— Nic, moja droga, nic nas nie pokona... Nic, nic, nic... powtórzył jeszcze Filip, łkając z radości.

I kiedy tak mówił, chata zastrzęsła się nagle jakby od uderzenia taranu.

Było to gwałtowne uderzenie wiatru. Prawie natychmiast rozległ się przeciągły, niewypowiedziany krzyk, górujący nad rozszalałą burzą, któremu odpowiedziało dzikie wycie wilków Brama Johnsona.

XV.

Płonąca chata.

Filip i Cecylia sądzili początkowo, że to sam człowiek-zwierzę wrócił z swojej wyprawy i zawrzasnął tak przed drzwiami chaty. A to zawyła sama burza.

Wyczerpana burza uspokoiła się. W ciszy, która teraz nastąpiła, Filip i Cecylia, widząc, że przestrach był przedwczesny, przytuliła twarz do twarzy swojego przyjaciela i wybuchnęła śmiechem.

— Tak, to była burza, — szepnął Filip. — Nigdy nie słyszałem podobnych głosów. Przewyższa to wszystkie najbardziej zdumiewające wrażenia mojej przeszłości. Nawet wilki oszalały. I ty się bałaś . . . Zapalmy świece Brama, dobrze?

Poszli razem, trzymając się za ręce, ku świecom z tłuszczu niedźwiedziego, sporządzonych przez Brama. Cecylia wzięła dwie i podała je Filipowi, który je zapalił.

Lśniący ich płomień zabłysnął w oczach Cecylii, jak w zwierciadle. Widząc te wilgotne źrenice, zdradzające teraz niejedną rzecz, Filip chciał na nowo chwycić młodą dziewczynę w objęcia i uścisnąć ją gorąco. Ją i świece.

Ale Cecylia odwróciła się już i zbliżyła się do stołu, postawiwszy na nim obie świece. Filip jął dalej grzebać

w zapasach świec. Zapalił kilkanaście małych świeczek, aż cały pokój zajaśniał światłami. Była to karygodna rozrzutność. Ale Filip był przekonany, że szczęście było tego warte.

Młoda dziewczyna wiedziała teraz, że ją kochał. Nie istniały dla niej już żadne wątpliwości. A on czytał w jej oczach, że mu ufała. Widział, że uderzenie wiatru, które ich poderwało z miejsca i ów fantastyczny krzyk, nastąpiły w porę. Cóżby się bowiem stało bez tego?

Filip pomyślał, że ulegając porywowi swoich zmysłów, skrzywdziłby tę, która mu się powierzyła. Jakże mógłby teraz spojrzeć jej w oczy bez wstydu? Dziękował Bogu, że powstrzymał się od tego szaleństwa, dzięki czemu mógł teraz stanąć przed swoją towarzyszką w świetle świec, bez rumieńca i z czołem wzniesionym do góry. Cecylia nie żałowała długiego pocałunku, który połączył ich usta. Filip odgadł po drżeniu jej ciała i lekkim rumieńcu, że myślała tak samo, jak on.

Gruby kosmyk złotych jej włosów wisiał na jej piersi, lśniąc się w migotliwym świetle świec. I tym razem, miast całować usta i oczy Cecylii, Filip wziął delikatnie w ręce jedwabny warkocz i przytulił go do ust.

— Kocham cię, — rzekł cicho. — Kocham cię!

I stał tak przez chwilę pochylony, ukrywszy twarz w złotej gęstwi, jakby w modlitwie. Cecylia nie broniła się. Mówiła coś do niego drżącym głosem . . . Potem wziąwszy z krzesła płaszcz Filipa, zawiesiła go przed oknem, wskazując palcem świece.

— Nie ma obawy, — rzekł, zaprzeczając ruchem głowy. — Nie ma się czego obawiać dzirytów wśród takiej nocy, a Eskimosi są zbytnio zajęci sobą.

Istotnie, po krótkim wypoczynku, burza rozszalała się z jeszcze większą gwałtownością, z całą diabelską swoją wrzawą i głosami ludzkimi. Rozpętawszy się raz, jęła uderzać w chatę.

— Słuchaj! — rzekł Filip.

Cecylia wytężyła odważnie słuch, jak on. To wyły wilki.

Filip wyjął z kieszeni mały atlasik i rozpostarł na stole mapę Kanady.

— Wytłumaczę ci, — rzekł do Cecylii, — skąd pochodzi ten piekielny wiatr. Spójrz najpierw, gdzie jesteśmy. To jest nasza chata . . .

Uczynił ruch, obejmujący cztery ściany pokoju. Potem ołówkiem Cecylii naznaczył na mapie czarny punkt.

A oto jest Wielki Barren, — ciągnął dalej, wskazując go końcem ołówka. — Tu, wyżej, to Ocean Lodowaty, a dalej, tam Roes Welcome i zatoka Hudsona. Stamtąd ciągnie burza, przechodzi na Barren, gdzie na przestrzeni pięciuset mil nie znajduje żadnej zapory.

I tłumaczył jej dalej, jak to wiry powietrzne zamieniają się w huragany, dlaczego chmury opadają tak nisko, tak blisko ziemi, iż ludzie duszą się tym niemal. Mimo najlepszych chęci Cecylia nie mogła wiele zrozumieć, a najbardziej interesował ją czarny punkt, naznaczony przez Filipa i przedstawiający chatę.

Wiedziała w końcu, gdzie się znaduje i z najwyższą starannością usiłowała zorientować się, odtworzyć drogę, którą przybyła.

— Tu! Tu! — zawołała nagle, przerywając objaśnienia Filipa i biorąc go za rękę.

Położyła palec na wężykowatej linii, wyraźnie nakreślonej, przedstawiającej wybrzeże Cooper Mine.

— Z Oceanu Lodowatego, — mówiła, — i zatoki Couronnement dostaliśmy się na tę rzekę. U ujścia tej rzeki wysadził nas statek. Płynęliśmy, płynęliśmy . . .

Kilkakrotnie powtarzała nazwę rzeki: Cooper-Mine!

Filip skinął potwierdzająco głową.

Wzruszenie Cecylii wzrastało. Głos jej był gwałtowny i głuchy. U trzeciej prawie części biegu rzeki narysowała krzyżyk. Tutaj napadli ich Kogmollokowie. Ołówek jej narysował walkę. Pobici, jęli uciekać, daleko od Cooper-Mine, potem wrócili i odbyła się druga walka. Wtedy to pojawił się Bram Johnson i zabrał ją ze sobą. Ale poza nią, w miejscu przez nią wskazanym, pozostał jej ojciec.

— F a t h e r ! F a t h e r !

Oto, co chciała przedewszystkim opowiedzieć Filipowi. Ojciec jej jest ciągle tutaj i żyje. Trzeba iść do niego.

Filip zrozumiał jej myśl. Ale był przekonany, że nieszczęśliwiec ten nie żyje już od dawna. Eskimosi nietylko zabili go z pewnością, ale pokrajali na drobne kawałki, jak to zwykli czynić z swoimi pochwyconymi wrogami. Świeżym przykładem tego jest Olaf Anderson i jego pięciu towarzyszy. Tych sześciu tęgich ludzi zginęło. Jakżeż ojciec Cecylii mógł się im oprzeć i uratować swoje życie?

Zresztą myśl młodej dziewczyny udania się powrotną drogą ku północy, nad wybrzeże Cooper-Mine, była niemożliwa i niewczesna. Przypuściwszy bowiem, że uda się im wymknąć z chaty przed powrotem Eskimosów, musieli szukać zbawienia w pośpiesznej ucieczce na południe i powrócić do chaty Piotra Breaulta. Ale, zapuszczając się na północ, bez broni, bez psa, bez sanek, to równało się samobójstwu.

Trudno było wytłumaczyć to Cecylii i uzyskać jej zgodę. A jeszcze boleśniej było pozbywać jej odwagi, poddając jej przypuszczenia co do losu jej ojca, w którego istnienie przy życiu wierzyła niezachwianie. Filip był tym mocno zakłopotany. Przy pomocy rysunków Cecylia uwiadomiła go, że w towarzystwie jej ojca, Pawła Armina, znajdowali się jeszcze dwaj biali.

Czas upływał. Burza wyła dalej i ciemność była ciągle nieprzejrzana. Spojrzawszy na zegarek Filip zobaczył, że wskazuje siódmą godzinę. Tymczasem noc nie ustępowała. Filip zaprowadził Cecylię do pokoju, prosząc ją, aby się położyła i wypoczęła nieco.

Po upływie godziny wydało mu się, że ona śpi. Przyłożył więc ucho do ogrodzenia i istotnie nie usłyszał żadnego szmeru. Wtedy nałożył kaszkiet na głowę, owinął się w płaszcz i chwycił kij, który sam sporządził. I wykonując powzięty plan, zbliżył się do drzwi chaty, otworzył je, wyszedł i zamknął je za sobą.

Burza plunęła mu w twarz gwałtownym wichrem. Ale on bał się raczej ciszy. W pewnej części okolnego ogrodzenia usadowiły się wilki Brama i Filip miał nadzieję, że wśród świstu burzy uda mu się wymknąć niepostrzeżenie.

Przez kilka chwil stał nieporuszony, nadsłuchując pilnie i ściskając w ręce kij. Każdy nerw jego ciała był naprężony jak cięciwa. Nic się nie ruszało. Postąpił krok naprzód, wśród ciemności nocy. Potem szedł już naprzód, powoli i rozsądnie, wywijając swoim kijem, gotów uderzyć, jeśliby na nieszczęście natknął się na drodze na wilki. Był tak spokojny i pewny siebie, jak gdyby szedł wśród jasnej, gwiaździstej nocy.

Osiągnął wkrótce palisadę, otaczającą ogrodzenie. Idąc wzdłuż niej znalazł o dziesięć kroków na prawo,

jak to już sobie obliczył, bramę ogrodzenia i serce zabiło mu radośnie. W chwilę potem brama była już otwarta i silnie podparta polanem, które przyniósł ze sobą. Wtedy wrócił do chaty, kierując się światłem świecy, ustawionej w oknie.

Ukończywszy szczęśliwie swoją wyprawę zastał w chacie oczekującą go Cecylię. Wstała, odziana w suknię nocną, gdy tylko wszedł, a ręce skrzyżowane na piersiach zdradzały jej śmiertelny niepokój. Spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

— Wilki, — zawołał tonem tryumfalnym, — uciekną do jutra rano! Otworzyłem bramę i wymkną się tamtędy! Teraz droga nasza jest wolna!

Oczy Cecylii napełniły się błyskiem radości. Zrozumiała. Powierzała się mu w zupełności, wszystko, co czynił, było dobre. Bram, jego wilki, Eskimosi, wszystko to nie istniało dla niej. Oddawała się coraz więcej swojemu wybawcy.

Filip zaprowadził ją za rękę do drzwi pokoju. Zatrzymali się na progu. Ręka Cecylii przesunęła się na ramię Filipa i ujęła je mocno. Mówiła do niego swoim niezrozumiałym i słodkim szeptem. Usta Filipa spoczęły na jej otwartych ustach. Wtedy Cecylia krzyknęła jak spłoszony ptak i uciekła.

Pozostawszy sam, Filip czuwał przez pewien czas. Był tak dumny i szczęśliwy, że nie słyszał rozpętanego wycia burzy. Przyszłość uśmiechała się do niego. . . . Było już późno, gdy się zdecydował położyć. Nałożył do pieca tyle drzewa, ile się zmieściło, zapalił ostatnią świeczkę i na pół ubrany rzucił się na łóżko.

Przez godzinę całą na próżno usiłował zasnąć. Rozważał swoje plany na przyszłość. Tysiąc różnych myśli

kłębiło się w jego głowie. W końcu ogarnął go sen, podczas gdy pięści burzy waliły w okno, omal ich nie rozbiwszy, a zawieja śnieżna, zmieszana z wiatrem, wtłaczała się do komina pieca.

Pod siłą płomienia słabe drzwiczki z lanego żelaza spaliły się jak mech i płomyk ognia przedarł nocne ciemności.

Tymczasem Filip spał snem niespokojnym i pełnym widzeń. We wszystkich tych snach obecną była Cecylia. Cecylia, która została jego żoną. Żyli razem w klimacie łagodnym, zdala od nieprzejrzanego śniegu i czarnych jodeł Nothlandu. Szli przez kwieciste łąki, wesoło, zbierając pęki kwiatów. Aż nagle zerwała się burza. Biegli, szukając schronienia, do jakiejś opuszczonej stodoły. Cecylia przytulała się z drżeniem do niego, a on, aby ją uspokoić, gładził ręką jej jasne włosy. Nagle zabłysnęło światło i wybuchnęła rakieta. Znaleźli się potem wpośród jesieni, w polu, wraz z innymi młodymi ludźmi, zajęci paleniem kukurydzy. Filip, który był zawsze czuły na dym, kichał i kichał, a Cecylia śmiała się na całe gardło. Ucieka, ścigany przez przeklęty dym, kichając i dusząc się. A Cecylia była razem z nim śmiejąc się ciągle i zakrywając mu twarz swoimi słodkimi rękami. Ale dym był natrętny jak diabeł i kiedy Filip wrócił do mieszkania, znalazł go w swojej sypialni. Chcąc się skryć przed nim, schował głowę pod poduszkę, kaszląc nieustannie. Równocześnie zniknęło widmo Cecylii. Filip, na pół uduszony, kichnął jeszcze raz i obudził się.

Istotnie, chata była pełna ostrego dymu, przez który widać było snopy ognia, wzbijającego się ku sufitowi. Jedna z belek powały zaczęła już trzeszczeć, a niszczycielski ogień biegł wzdłuż drzewa z głuchym pomrukiem. Filip, którego czujność obudziła się nagle, zerwał się

natychmiast na równe nogi. Nie było ani chwili do stracenia.

Na pół oślepiony dymem i ogniem skoczył do pokoju Cecylii, która obudziła się również. Zanim zdołała zrozumieć, co się stało, owinął ją w jedną z ciężkich, niedźwiedzich skór Brama i wyniósł na swoich rękach. Wśród dzikiego trzasku chata, sporządzona z jodły, płonęła jak pudełko zapałek. Nawet dwudziestu ludzi razem nie zdołałoby teraz opanować ognia. Żywica ściekała wzdłuż drzwi. podczas gdy Filip szukał zasuwki przez zasłonę z dymu.

Znalazłszy ją w końcu, wybiegł ze swoim ciężarem na dwór, na śnieg i w ciemność nocy.

Przez otwarte drzwi burza wdarła się za nim do wnętrza chaty, podniecając jeszcze wściekłość pożaru. Słaba chata była już tylko ryczącym i krwawym żarem, z którego tryskały słupy płomieni i snopy ulatujących ku niebu iskier. Filip nie zatrzymał się rychlej, aż nie przedostał się przez palisadę ogrodzenia i nie znalazł się w lasku jodłowym, zasłoniętym od wiatru.

Ale wtedy, gdy wierzchołki drzew uginały się pod wściekłym powiewem burzy, dorzucając swoje żałosne jęki do syku pożogi, gdy Cecylia, którą przyciskał do piersi, wyciągnęła ramiona ze skóry niedźwiedziej i wśród łkań objęła go za szyję, uczuł całą grozę swej bezsilności i rozpaczy, czarnej, jak otaczająca go noc. Wraz z chatą ginęło w tej strasznej pustyni wszystko, co dawało możliwe życie: żywność, schronienie, nawet odzież.

Jeszcze goręcej uścisnął Cecylię i wśród tych tragicznych ciemności, smagany jak ona wiatrem, pocałował ją w usta, w cudowne włosy i powiedział jej machinalnie to, o czym wiedział, niestety, że jest kłamstwem: że jest

teraz uratowana, że nic się jej nie stanie. Czuł w tej okropnej chwili, że ma w rękach nagie ciało dziewczyny, okryte tylko skórą niedźwiedzia. W czerwonym płomieniu ognia ujrzał wyłaniającą się z futra nagą jej nóżkę.

Mimo to powtarzał nieustannie:

— All right, droga mała! Damy sobie radę. Jestem tego zupełnie pewny!

XVI.

W oczekiwaniu świtu.

Po upokorzeniach i rozpaczach pierwszych chwil Filip ukląkł i złożył Cecylię na śniegu, pod wielką jodłą, o którą ją oparł.

Owinął ją starannie w skórę niedźwiedzią, dziękując Bogu, że skóra była dość szeroka i mogła ją szczelnie okryć. Przyszła mu wtedy myśl, aby wrócić do stosu popiołu i żaru i wydostać stamtąd, co się tylko da. On sam nie miał na sobie prawie nic, a cóż dopiero Cecylia!

Wilków nie potrzebował się już obawiać. Jeśli już nie uciekły w głąb lasu, Filip wiedział, że nie napadną go koło płonącej chaty, gdyż boją się strasznie ognia. Co do Eskimosów, to pożar mógł ich ściągnąć spowrotem do chaty. Ale musiał się odważyć. On sam, Filip, naraził Cecylię na to nowe niebezpieczeństwo, jeszcze gorsze, niż Bram Johnson. Nieszczęście spowodowała jego lekkomyślność, z jaką wyładował drzewem piec i podstępna pomoc burzy. Teraz należało to naprawić.

Pobiegł więc do palisady ogrodzenia i wkrótce ją osiągnął. Ale przed śmiertelną linią wściekłego ogniska musiał się zatrzymać, zaciskając kurczowo pięści i rzucając płomieniom w złości słowa pogardy, lęku i bezsilności. Gorąco wulkanu wycisnęło pot z jego zmarzniętego czoła i wysuszyło mu gardło. Wszystko spłonęło doszczętnie.

I ta nędzna chata, gdzie niedawno jeszcze przeklinał los, oblęgany przez wilki i Eskimosów, wydała mu się Opatrznością Boską. Wtedy walka była jeszcze możliwa. Ale odtąd . . .

Podniósł nagle rękę do odkrytej głowy. Wiatr ustał i począł padać śnieg.

Filip wiedział, że zimno wzrasta i termometr musiał już wskazywać dwadzieścia stopni poniżej zera. Gdyby wiatr zerwał się na nowo, w ciągu dwu lub trzech godzin miałby odmrożone uszy. Pomyślał równocześnie, że zapałki jego zostały w lewej kieszonce kamizelki. Spłonęły wraz z chatą. Nie miał nawet teraz żadnego środka, celem rozniecenia ognia.

Bez względu na to, co było, musiał powziąć natychmiastową decyzję. Chodziło nie tylko o niego, ale o Cecylię, która czekała na niego pod jodłą, owinięta w skórę niedźwiedzią, z której nie mogła się ruszyć. Bez jego pomocy umrze. Był wszechwładnym panem jej życia. Nie mogła uczynić jednego kroku, aby nie zanurzyć bosej nogi w śniegu. Była teraz dla Filipa czymś więcej niż kobietą kochaną, małym dzieckiem, które trzeba nieść na rękach, chronić przed zimnem i wiatrem, dopóki w żyłach jego płonąć będzie kropla krwi męskiej. On będzie dla niej matką, nie będzie jej skąpił trosk macierzyńskich, aż do chwili, gdy padną oboje zwyciężeni. Chyba, gdy uratuje ich niespodziewany cud . . . Należała do niego, była jego wyłączną własnością, jak gwiazdy należące do nieba. W jego ramionach znajdzie życie lub śmierć.

Energia rosła w Filipie. Kiedy wracał do Cecylii przyszła mu nagle do głowy myśl. Istniała druga chata. Ta, która była próżna i obok której przyjechał w towarzystwie Brama. Tam było wybawienie! Mógł się znajdować od niej najwyżej w odległości ośmiu do dziesięciu

mil i nie wątpił, że ją znajdzie. Budziła się w nim na nowo nadzieja, a wraz z nią wola zwycięstwa.

Zbliżając się do Cecylii usłyszał Filip radosny ton, jakim go pozdrawiała. Wołała go po imieniu. Głos jej nie drżał z przerażenia. Zdradzała raczej szczęście i radość, że go znów widzi koło siebie.

Położył palec na jej ustach, dając jej tym do zrozumienia, że nie powinni wszczynać żadnego hałasu. Lękał się aby nie obudzić czujność Eskimosów, którzy musieli być niedaleko. Bo w jaki sposób zdołałby się oprzeć ich atakowi? Byłaby to nieunikniona śmierć. Filip nachylił się nad Cecylią, owinął ją starannie, w skórę niedźwiedzią i podniósł. Zdołała wysunąć rękę z owego futrzanego więzienia i położyć ją na policzku Filipa. Potem spojrzeli po raz ostatni na rozpadające się w popiół resztki żaru.

Wiatr uciszył się na chwilę i przestał jęczeć w wierzchołkach jodeł. Na niebie pojawiła się na wschodzie blada światłość w chwilowym obramowaniu chmur. To wstawała jutrzenka. Ale chmury zamknęły się i rozpękły się w białą lawinę śnieżną. Grube i miękkie płatki jęły pokrywać ślady kroków. Było to szczęśliwą pomocą w ucieczce przed ewentualnym pościgiem Eskimosów.

Filip szedł szybko, o tyle, o ile mu na to pozwalała nierówna ziemia lasu i zalegająca jeszcze ciemność. Przez dosyć długi czas kroczył ku wschodowi i ledwie czuł ciężar słodkiego brzemienia, które niósł na rękach. Przebiegł w ten sposób całą milę, potem zatrzymał się, aby wypocząć.

Szepnąwszy po cichu kilka słów do Cecylii, usiadł na powalonym drzewie, tworzącym coś w rodzaju ławki. Przekonał się, czy skóra niedźwiedzia, w którą ją owinął, nie rozwinęła się i czy chroniła ją należycie przed zimnem, które, na szczęście, było znośne, ponieważ wiatr nie wiał

zupełnie. Ręka jego natknęła się na bose jej nogi. Cecylia drgnęła, potem zaczęła się śmiać. Przekonał się, że były ciepłe, owinął je zapobiegliwie, nim ruszył w dalszą drogę.

Po trzech przystankach spotkał grupkę jodeł, których rozłożyste gałęzie nie dopuszczały śniegu na ziemię. Złamał kilka gałązek i sporządził z nich gniazdo dla Cecylii. Ułożył ją tam i razem czekali dnia. Wytężali słuch wśród ciszy, bacząc, czy do uszu ich nie dolatuje jakiś szmer. Posłyszeli dalekie echo żałosnego wycia jednego z wilków Brama, potem dwukrotnie echo głosu ludzkiego. Ręka Cecylii ścisnęła po raz drugi rękę Filipa, jak gdyby chcąc go uwiadomić, że słyszy również.

Odpocząwszy trochę, gdy nie zagrażało żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo, Filip pozostawił Cecylię i udał się na poszukiwania aż na kraniec lasu. W ciemnym świetle polarnej jutrzenki zobaczył, że ślad jego znikł już pod nawałnicą śnieżną, która, na szczęście nie ustawała. Gdyby chodziło o białych lub o Indian, byłby zupełnie spokojny. Ale Eskimosi posiadają doskonale rozwiniętą zdolność i bystrość w rozpoznawaniu śladów. Przez pięć miesięcy w ciągu roku muszą tropić pod podwójną powłoką śniegu i nocy ślad zwierzyny, którą się karmią i której ślad rozpoznają tam, gdzie dla innych jest on niewidoczny.

Gdyby Kogmollokowie, zwabieni ogniem, wrócili natychmiast do chaty Brama, zauważyliby bez wątpienia ich ucieczkę i ścigaliby jego i Cecylię. Utajony instynkt mówił mu, że powinien mieć się na baczności, ponieważ rozegra się nowy akt dramatu. Wielka gałąź, którą zaczepił nogą, dostarczyła mu materiału na kij. Chwycił ją żarliwie.

XVII.

Pierwsze zwycięstwo Filipa.

Filip nadsłuchiwał z kijem w ręce.

Zimno było teraz na Barrenie równie nieludzkie jak zgiełk, który po nim nastąpił. Jakkolwiek Filip znał to, oszałamiające swą jaskrawą wrzawą, zjawisko, wywarło ono na nim przykre wrażenie. Wśród ciszy rozlegało się tysiące nieuchwytnych dźwięków: miękki szelest spadającego śniegu, łomot odrywających się gałęzi jodłowych, syk jego oddychających piersi, pukanie serca w komorze. Oczy i uszy zdawały się wytężać na wszystkie strony.

Powoli zaczęły się wyłaniać kontury przedmiotów z chaosu nocnego. Drzewa i krzaki ukazywały swoje sylwetki i nabierały kształtów. Przez padający śnieg widać było tworzące się i torujące sobie drogę przez niebo chmury.

Filip, ukryty za niskimi jodłami, myślał, jak bardzo musi się niepokoić Cecylia, widząc, że pobyt jego przedłuża się. Nie mógł jednak zebrać sił, aby opuścić swoje stanowisko obserwacyjne i wrócić do niej. Przeczucia nie zawodziły go z pewnością. Coś się zbliżało.

Było dosyć jasno, aby mógł spostrzec najmniejszy ruchomy punkt na przestrzeni pięćdziesięciu jardów. Ale nic nie zjawiało się od strony śladu, który pozostawił na śniegu.

Gdyby Olaf Anderson, Szwed, był tutaj, opowiedziałby mu o innej, pełnej strachu nocy, podobnej do tej, jaka upłynęła i o równie bezużytecznym czuwaniu. Pouczyłby go Olaf Anderson, że Eskimosi nie kroczą tylko po samym śladzie dzikiej zwierzyny, którą ścigają, ale podobnie jak wilki, rozpraszają się na małe grupki, po dwóch lub czterech i otaczają ten ślad z lewej i prawej strony, nie ukazując się nigdzie. O tym Filip nie wiedzial i nadaremno wytrzeszczał przed siebie oczy, chociaż instynkt mówił mu, że nieprzyjaciel się zbliża.

Wtedy to usłyszał coś nieznanego. Nie był to tylko sam szelest. Był to prosty szmer, przenikający powietrze, podobny do innych, wibrujących w atmosferze. Ale w ciszy Barrenu ten niezwykły szelest zahuczał jak wystrzał z rewolweru. A tymczasem Filip nie widział przed sobą nic. Ślad był pusty. Odwrócił powoli głowę, nie poruszając się.

Zaledwie na dziesięć kroków od niego, stał jakiś zakapturzony kształt, jakieś przysadkowate zjawisko, osadzone silnie na nogach, z ognistymi oczyma, w pierwszej chwili bardziej podobne do fantastycznego krasnoludka, niż do człowieka. Ów zakapturzony kształt podniósł równocześnie ramię i szarą światłość jutrzni przeszył nagły błysk.

Siłą instynktu podświadomego, który czuwa nad nami, i szybszy jest jak myśl, Filip przypadł do śniegu jednym automatycznym ruchem, tak prędkim, jak mignięcie aparatu fotograficznego lub wybuch prochu w tygielku, podczas gdy dziryt świsnął tam, gdzie znajdowała się jego głowa i ramiona, na pół sekundy przedtem.

Tak infiniteczymalna była ta część sekundy, że Eskimos był przekonany, iż przeszył swoją ofiarę. Okrzyk triumfu wydarł się z jego gardła, s a k o t w o w Kog-

mollokòw, ochrypły i dziki „krwawy okrzyk" który przeszył powietrze i uleciał na milę w dal.

Ale prawie równie szybko krzyk zamarł. Napiąwszy swoje muskuły jak cięciwę, Filip zerwał się z ziemi. Kij świsnął w powietrzu i spadłszy na zakapturzoną i osłupiałą istotę, powalił ją na ziemię.

Ramię Eskimosa było zmiażdżone od pierwszego uderzenia. Drugi cios ugodził prosto w kaptur ze skóry foki, a trzeci doprowadził do przedśmiertnej drgawki.

Filip uderzał z taką gwałtownością, że zachwiał się na nogach. Nie odzyskał jeszcze równowagi, gdy dwa inne kształty wyłoniły się z cienia i rzuciły się na niego z dzikim wrzaskiem. Nie miał nawet czasu podnieść swój kij. Rzuciwszy się na najbliższego z Kogmolloków, chwycił jedną ręką wzniesiony już dziryt, a drugą ręką wymierzył potężne uderzenie pięścią. Eskimos zwalił się na ziemię, wypuściwszy z ręki dziryt, którym zawładnął Filip, ogarnięty szałem walki.

W tej samej chwili uczuł, że pochwyciła go za gardło para kosmatych rąk. Wydał okrzyk grozy, który zamarł w tym żelaznym uścisku. Głowa jego odwróciła się wstecz, był pod spodem.

Był to zwyczajny podstęp wojenny Eskimosów, podstęp, który zawodził rzadko, dawny sasakiwechikun albo dżiu-dżitsu polarne, przekazywane synom przez ojców od szeregu pokoleń. Kiedy jeden z Kogmolloków przytrzymuje bezsilną ofiarę z tyłu, drugi przebija jej serce.

Ubezwładniony w ten sposób Filip słyszał krótki nakaz, rzucony przez Eskimosa swojemu towarzyszowi, aby przybywał jak najprędzej z nożem i zakończył walkę. Odpowiedział mu na to pomruk.

W owej chwili poczuł Filip w kieszeni koło pasa mały rewolwer Cecylii. Wyjął go szybko, wykręcił ramię,

omal nie wyłamując je ze stawów, i strzelił. Był to szczęśliwy pomysł. Wybuch prochu zranił twarz zakapturzonego Eskimosa. Ręce rozkrzyżowały się i wypuścił z uścisku Filipa, który skoczył na równe nogi,

Eskimos, zasłaniając zakrwawioną twarz rękoma i pełzając na kolanach znajdował się od niego ledwie o cztery kroki. Filip zauważył w śniegu swój kij. Podniósł go i schował rewolwer do kieszeni. Jeden dobrze wymierzony cios i walka była skończona. Trwało to wszystko pięć minut. Los był dla Filipa życzliwy. Na śniegu czerniły się cztery krwawe plamy. Oto było wszystko, co pozostało z jego nieprzyjaciół, z których przynajmniej dwaj byli zabici.

Rozważał jeszcze ów wspaniały rezultat i przygotowywał się do obrony przeciw nowemu atakowi, gdy nagle odwrócił się i wydał okrzyk zdumienia. Ktoś stał koło niego na dziesięć zaledwie kroków. Była to Cecylia.

W szalonym porywie, który ją uniósł, porzuciła na śniegu skórę niedźwiedzią. Stała w nocnym stroju, z bosymi nogami, zatopionymi w śniegu, w szarej jutrzni polarnej i wyciągała nagie ramiona ku swojemu przyjacielowi. Wołała:

— Filipie! Filipie!

Stłumiwszy krzyk, skoczył ku niej. Ponieważ myślała, że jest śmiertelnie zagrożony, przybiegła w tym dziwacznym stroju. Jakże można było teraz wątpić, że i ona go kochała?

Odpowiedział:

— Cecylio! Cecylio! — i załkał.

Potem wziął ją w swoje silne ramiona i pędem zaniósł do skóry niedźwiedziej.

Owinął ją niemal brutalnie, omal jej nie zadusiwszy. Ich obopólne łkania zmieszały się z sobą wśród mroźnego dnia. I gdy tak leżeli przytuleni do siebie, nadsłuchiwali równocześnie oboje.

Z dala rozległ się ostry i dziki okrzyk wojenny Kogmolloków. Było to wezwanie, rzucone trzem zakapturzonym, którzy napadli na Filipa, domagające się odpowiedzi.

Doleciał on z zachodu, z odległości mili, a powtórzył go drugi okrzyk ze wschodu. Filip przytulił twarz do twarzy Cecylii. Serce jego szeptało modlitwę, bo wiedział, że bitwa dopiero się zaczęła.

XVIII.

Śladem krwi.

Filip dał Cecylii do zrozumienia, że należy najpierw wykorzystać położenie i przeszukać zwłoki poległych wrogów. Dał więc jej znak, aby czekała, a sam wrócił spiesznie na pole walki.

Trzej Eskimosi nie żyli. Dwaj z nich zginęli od uderzenia kijem. Trzeci miał małą dziurkę między oczyma od kuli. Filip pogłaskał ręką malutki rewolwer, dobry do strzelania grochem, z którego tak kpił przedtem.

Najmniejszym z Kogmolloków był ten, którego ubił jako pierwszego kijem. Nachyliwszy się nad nim, Filip podniósł jego kaptur ze skóry foki, zdarł z niego futrzane ubranie i zdjął buciki ze skóry renifera. Obładowany łupem wrócił do młodej kobiety.

Jakkolwiek odzienie to było proste i pochodziło z trupa, spadło im jak manna z niebios. Nie była to pora na przesadne wymagania i elegancje. Ogień radości gorzał w oczach Cecylii, a Filip zdumiewał się jak mało wyprowadzało ją z równowagi niebezpieczeństwo. Natychmiast też jęła się stroić w owo stare odzienie, podczas gdy Filip wrócił do Eskimosów.

Drugiemu Eskimosowi, którego powalił nagłym uderzeniem pięści, zabrał również kaptur i odzienie. Eskimosi

nie posiadają właściwych kieszeni, ale noszą w pasie małe woreczki ze skóry narwala, które je zastępują. Filip odłożył na bok owe trzy trzosy, potem pozbierał broń.

Znalazł dwa kordelasy i pół tuzina zabójczych dzirytów. Jeden z nożów tkwił jeszcze w zaciśniętej ręce Eskimosa, który chciał go nim ugodzić w chwili, gdy rewolwer Cecylii wmieszał się w to w samą porę. Wziął nóż, najdłuższy i najlepiej wyostrzony.

Zbadawszy zawartość trzech woreczków wyjął z nich nieodstępny sznurek ze skóry renifera i jeszcze mniejszy woreczek, nieprzemakalny i starannie zamknięty, zawierający przybory Kogmolloków do rozniecania ognia. To było niezwykle cenne. Eskimosi nie mieli ze sobą żadnych zapasów żywności. Było to jasnym dowodem, że obozowali niedaleko.

Skończywszy przeszukiwać, wstał, gdy ujrzał nadchodzącą Cecylię.

Jakkolwiek położenie nie było odpowiednie do żartów, uśmiechnął się. Wyglądała jak prawdziwy Eskimos. Kaptur był tak dalece szeroki, że zakrywał jej całą twarz i nie można jej było poznać na odległość pięćdziesięciu kroków. Filip odchylił rąbek kaptura i ukazała się miła jej twarz. Potem wyjął ciężkie warkocze i odsłonił ich lśniący blask. Jednak po chwili namysłu schował z powrotem jasne włosy do kaptura, aby w razie napadu Eskimosowie nie poznali, że Cecylia jest kobietą.

Nie mogła oderwać oczu od trzech leżących w śniegu trupów, milczących dowodów niebezpieczeństwa i odbytej przez Filipa walki. Stali oboje, pochłonięci swoimi myślami, marząc o miłości. Przez parę chwil zapomnieli o czasie, który płynął szybko i o tym, co może ich kosztować każda stracona chwila. Przywołał ich do rzeczywistości mały płat śniegu, który spadł z wierzchołka jodły.

Filip dał Cecylii do zrozumienia, że inni wrogowie są na ich tropie i że należy natychmiast ruszyć w drogę.

Przywiązał więc do pasa jeden z trzech woreczków, potem zabrał swój kij, a po chwili wahania jeden z dzirytów. Nie wiedział, na co mu się przyda owa broń. Broń ta, śmiercionośna na sto kroków w ręce Kogmolloka, była nieużyteczna w rękach laika, nie umiejącego jej używać. Z drugiej strony była za słaba, aby jej można było użyć do walki wręcz. Mimo to Cecylia poszła za jego przykładem i wzięła drugi dziryt, gotowa walczyć w najbliższym starciu, u boku swojego obrońcy. Wzięli się więc za ręce i ruszyli przez las.

Małe stopy Cecylii, odziane w zbyt szerokie trzewiki, pozostawiały w śniegu długie ślady. Kroczyła naprzód z trudem. Filip usiłował odszukać dawny ślad, pozostawiony przez Brama i przez niego, poznać po pewnych szczegółach miejsca, które przebył. Zatrzymywał się od czasu do czasu i nadsłuchiwał, czy ktoś z tyłu nie nadchodzi.

Wpadli nagle na świeże ślady, pozostawione na śniegu przez człowieka, który przecinał ich drogę pod kątem prostym. Filip nachylił się, aby je zbadać i nie mógł powstrzymać się od krzyku. Ślady pochodziły od bucików do nart.

Eskimosi nie używają takich bucików. Był to więc ślad nogi białego człowieka! Stwierdził równocześnie rzecz drugą. Ślady stóp nieznajomego pochodzenia były olbrzymie. On sam nie mógł ich zakryć w zupełności.

— Jeszcze nie urodzili się Eskimosi, którzyby zdołali pozostawić taki ślad, — zawołał. — Tylko Bram lub nieznajomy jakiś człowiek biały mógł pozostawić ów ślad.

Filip był tym do tego stopnia poruszony, że Cecylia nachyliła się również ku ziemi.

— Bram . . . Bram . . . — powtórzył z niepewnym ruchem.

Ale Cecylia zaprzeczyła ruchem głowy. Badała również śnieg z żarliwą ciekawością. Wzięła gałązkę jodłową i położyła ją w poprzek, przed jednym z odcisków. Filip zrozumiał, co chciała powiedzić. Przypomniał sobie, że narty Brama były na końcu ścięte a nie zaokrąglone, jak zwyczajnie. Nie widać tego było w śladach, które mieli przed oczyma. To nie Bram przeszedł.

Filip nie mógł się zdecydować wobec tego nowego faktu. Czy ten biały był przyjacielem, czy wrogiem? Któż wie, czy to nie ktoś z policji Royal North-Westu, niosący im niespodziewaną pomoc. Czy należy zdążać za tym śladem, czy też przeciwnie, uciekać od niego? To samo przemawiało za i przeciw. Pocóż więc wahać się?

W owej chwili rozległ się za nimi potężny krzyk, dziwna onomatopeja, grzmiąca jak bęben, rodzaj formalnego wrzasku:

— Hum . . . Hum . . . Hu-u-u-m-m-m!

Zdawało się, że echo podwajało ów krzyk, niosąc go na cztery krańce widnokręgu.

Cecylia, podobnie jak Filip, zrozumieli szybko, że Eskimosi odkryli swoich nieboszczyków i zgromadzili się dokoła trupów. Należało zdążać do białego człowieka i spróbować szczęścia.

XIX.

Wyścig.

Filip pozbył się dzirytu i kija, zatrzymując przy sobie jako jedyną broń nóż Eskimosa i chwycił rączo Cecylię w swoje ramiona.

— Teraz trzeba biedz na wyścigi, — rzekł. Bo inaczej . . .

Przebiegł w ten sposób, biegnąc nieustannie, kilkadziesiąt jardów, potem postawił Cecylię na ziemi. Chciał jej w ten sposób wytłumaczyć, że życie lub śmierć zależne są od szybkości ich biegu, że muszą wytężyć całą swoją energię w kierunku wybawienia. Jęła biedz z zapałem obok niego. Śnieg przestał padać.

Biegnąc tak rozważał Filip złe i dobre strony swojego postępku. Wiedział, że Eskimosi, zebrawszy się koło swoich nieboszczyków, rozpoczną, nie bez krępowania się, hałaśliwą naradę, która pochłonie trochę czasu. Potem zaś puszczą się w pogoń.

Co się tyczy nieznajomego, którego śladem dążył wraz z Cecylią, należało być ostrożnym. Ważne było, aby go zaskoczyć i najpierw opanować, aby go unieszkodliwić, jeśli jest wrogiem, a jeśli posiada strzelbę, odebrać mu ją. Strzelba! Co za wspaniała i cenna zdobycz!

Ślad nie był dawny. To jedno było pewne. Pokrywała go tylko lekka powierzchnia śniegu. Nie powstał dawniej, jak przed godziną.

Cecylia zadyszała się wkrótce. Kaptur zesunął się jej na tył głowy i wynurzyła się twarz, cała czerwona od wysiłku. Filip stanął. Młoda kobieta, której oczy błyszczały jak gwiazdy, była teraz urocza i miał już chęć ucałować jej zadyszane, rozchylone usta. Ale nie było czasu do stracenia. Filip wziął ją znów na ręce i jął biec dalej.

Wszystko poszłoby gładko, gdyby mógł tak dłużej wytrzymać. Zależeć to będzie od jego sił. Po czterystu około jardach Cecylia dała znak, że jest wypoczęta. Biegł jeszcze przez pięćdziesiąt jardów, potem postawił ją na ziemi. Ogółem przebiegli w ten sposób prawie jedną milę.

Ale ślad skręcał naraz ze wschodu ku północy. Zdumiał się Filip. Usiadł na pniu zeschłej jodły wraz z Cecylią, aby trochę wypocząć. I cudzoziemiec musiał się tutaj zatrzymywać. Żaden śnieg nie pokrywał już śladów jego stóp.

— Wydaje mi się, — rzekł Filip, — że znajduje się od nas nie dalej, jak o pół godziny drogi.

I kiedy obserwował zamarzniętą ziemię, zauważył na twardym śniegu kilkanaście punkcików ciemnobrunatnego koloru.

— Tutaj nieznajomy wydobywał swój tytoń, — rzekł z uśmiechem.

Mimo sprzeciwów Cecylii, która chciała biec, wymógł na niej, że pozwoliła się nieść. Widocznie działała na nią jego odwaga. Ciężki oddech i lekki skurcz jego twarzy dokoła ust zdradzały znużenie. Nawet dla zwyczajnej przechadzki ciężkie jego odzienie futrzane i grube trzewiki były zbyt uciążliwe.

Aby zmniejszyć ciężar podniósł ją wyżej, tak że ramiona Cecylii oplotły jego szyję, a twarze ich przyl-

gnęły do siebie. Dotknięcie jej policzka pobudziło go do dalszego biegu.

Kiedy się zatrzymał, był już niemal bez tchu i po raz ostatni pozwolił jej biec koło siebie. Ale nogi jej uginały się. Znikł rumieniec z różowych policzków, które pokrywała coraz bielsza bladość. Zgasł połysk jej oczu. Wyraz ich stał się dziki. Nie widząc siebie, tę samą zmianę zauważyła Cecylia na twarzy Filipa. Obie energie wyczerpywały się. Siliła się jeszcze na uśmiech i podała Filipowi swoje usta, które tym razem całował długo.

Jęli biec dalej spokojniej. Filip zdołał obliczyć, że przebiegli prawie pięć mil od płonącej chaty. Eskimosi mogli tymczasem ubiec ledwie dwie mile.

Przybyli do stóp długiej góry śnieżnej, mającej kształt grzbietu osła, a utworzonej ze śniegu znoszonego oddawna przez wiatr, starannie usypanej i zamarzniętej na wskróś. Filip poznał, że widział ją niegdyś w towarzystwie Brama i przeszedł obok niej, gdy opuścili pierwszą samotną chatę.

Ślad prowadził przez tę górę. Bez wątpienia prowadził on ku owej chacie. I Filip uradował się, że poszedł owym śladem, jasne bowiem teraz było, że szedł przedtem w fałszywym kierunku.

Cecylia nie mogła kroczyć nawet powolnym krokiem, więc, aby przebyć ten mały pagórek, ramiona Filipa musiały użyczyć jej swojej pomocy. Próbowała się bronić, ale wybuchnęła płaczem.

— Odwagi! — rzekł do niej Filip. — Chata jest już niedaleko. Jestem jeszcze dość silny, aby cię tam zanieść.

I przełknął gęstą ślinę, która nagromadziła się w jego gardle, podczas gdy Cecylia zdała się na niego, wyczerpana i rozpieszczona.

Trzeba było iść jeszcze przez pół godziny. Potem nagle ukazała się przed nimi chata.

Ktoś musiał w niej być, ponieważ z komina wydobywał się spiralny pasek dymu.

Tam było życie lub śmierć, ostatnia rozpacz lub wybawienie dla Filipa i dla młodej kobiety. Filip ułożył Cecylię pod krzakiem, aby nie była widoczna. Potem zdjął z siebie odzienie Eskimosa i rzucił je na śnieg. Przygotowywał się do walki. Muskuły jego naprężyły się. Cecylia była blada jak ziemia pod jej nogami.

— Chwała Bogu! — rzekł Filip. — Przybyliśmy do celu, zanim dosięgli nas Eskimosi. Idę na wywiady. Nie ruszaj się stąd.

Kiedy oddalał się od niej, ręce jej pochwyciły go kurczowo, a z piersi wydarło się westchnienie. Chciałaby go zatrzymać lub towarzyszyć mu. Ale wiedziała, że należy słuchać.

— Filipie! — szepnęła.

I odszedł.

XX.

Gorące przyjęcie.

Filip poszedł do chaty. Przechodząc obok niej z Bramem, zauważył, że posiadała tylko jedno okno, z okiennicą podnoszącą się i opadającą jak zastawka, sporządzoną z deszczułek jodłowych. Zwrócił się w kierunku niej.

Okiennica była zamknięta. Przyłożył ucho do szpar w drzewie i usłyszał, że wewnątrz ktoś chodzi. Cecylia widziała z swego stanowiska ruchy Filipa, a Filip czuł malującą się w jej oczach trwogę.

Potem zwrócił się ku drzwiom. Chciał prędko wiedzieć, kim był ów nieznajomy i puls jego zabił na myśl o tym, że owym człowiekiem z nartami może być jakiś przyjaciel. Ale pierwszym jego celem było opanowanie strzelby tajemniczej osoby, jeśli ją posiadała. Wszystko jedno, siłą czy podstępem. Bo Eskimosi zbliżali się coraz bardziej.

Przybywszy do drzwi, sporządzonych z drzewa, zauważył parę nart i pęk dzirytów, opartych tuż obok o ścianę chaty. Czyżby czekało go rozczarowanie? Czy człowiek o wielkich nogach jest olbrzymim Eskimosem a nie białym?

Jął węszyć na wzór psa. Z półotwartych drzwi dolatywała zmieszana woń kawy i tytoniu! Eskimos mógł po-

siadać tytoń, nawet herbatę i używać ich. Ale nie pił nigdy kawy.

Filip przymknął na kilka chwil oczy, by wypoczęły po olśniewającym blasku białego śniegu. Potem zaglądnął po cichu do chaty przez otwór w drzwiach, niezupełnie przymkniętych.

Ujrzał w półmroku wnętrza ognisko, z którego prowadził przez dach dymiący komin. Potem zobaczył niewyraźną sylwetkę człowieka, nachylonego nad ogniem. Postąpił krok naprzód i jął się przypatrywać.

Człowiek wyprostował się zwolna, wyjąwszy z popiołów garnek z kawą. Szerokie jego plecy i jego olbrzymia figura przekonały Filipa natychmiast, że to nie był Eskimos. Człowiek odwrócił się na chwilę twarzą do światła dziennego. Była to twarz człowieka białego. Gęsta broda zakrywała ją w połowie, a źle uczesane, długie włosy spadały na ramiona.

Niemal w tej samej chwili człowiek ów zobaczył Filipa. Stanął jak skamieniały.

Filip wyciągnął przed siebie mały rewolwer Cecylii.

— Jestem Filip Brant, — rzekł, — z Policji Królewskiej, na służbie Jego Królewskiej Mości. Ręce do góry!

Obaj mężczyźni stali naprzeciw siebie, jeden wyprostowany i surowy, jak gdyby porażony zdumieniem, drugi wyczekujący, niepewny, co się stanie.

Filip, który stał odwrócony plecami do drzwi, sądził, że cień, jaki rzuca jego ramię i twarz nie pozwolą rozpoznać wielkości małego rewolweru. W każdym razie strzał, oddany z takiej odległości, mógł być skuteczny. Ujrzał więc, że tajemnicza osoba podnosi po namyśle ręce do góry i nie wiedział, co się stanie.



Człowiek wyprostował się zwolna, wyjąwszy z popiołów garnek z kawą.

Ręka, trzymająca garnek z kawą, podniosła się i momentalnie chlusnęła wrzątkiem w twarz Filipa. Ów uniknął gorącego ciosu, pochyliwszy w porę głowę i wystrzelił. Ale zanim zdołał cofnąć rewolwer i strzelić po raz drugi, człowiek ów rzucił się na niego.

Skok atakującego był tak straszny, że obaj zwalili się na wewnętrzną ścianę chaty. Potem obaj runęli w dzikim uścisku na podłogę.

Filip dziękował Bogu, że pozbył się na śniegu ciężkiego odzienia Eskimosa i był przygotowany do walki. Krzyknał więc dziko i w tym tragicznym uścisku pomyślał o Bramie. Przeciwnik jego równy był Bramowi siłą i wzrostem. Zastosował więc przeciw niemu metodę walki, jaką obmyślił, na wypadek spotkania się z Bramem.

Musiał więc uwolnić się od ogromnego brzemienia, ciążącego na jego ciele. Jednym, dobrze wymierzonym ciosem pięści uderzył go w twarz, zanim tamten mógł powziąć jakieś postanowienie. Oszołomił go na chwilę, z czego skorzystał Filip i ukląkł, a następnie skoczył na równe nogi. Był to pierwszy triumf jego zimnej krwi. Ale zawcześnie było jeszcze na zwycięstwo.

Przeważał zręcznością, równą zwinności kota. Przeciwnik górował ciężarem i masą.

Nieznany człowiek podniósł się również i Filip przystąpił znów do ataku, wymierzywszy mu cios w szczękę. Podobny cios zwaliłby z miejsca zwyczajnego przeciwnika. Olbrzym wytrzymał i nawet nie zachwiał się. Filip ponowił cios i człowiek zatoczył się tym razem wtył. Chwiejąc się na nogach usiadł na worku z ziarnami.

Pięść Filipa wyciągnęła się po raz trzeci w najwyższym wysiłku muskułów. Ale cios był chybiony. Zaciśnięta pięść świsnęła ponad ramieniem człowieka i Filip

stracił równowagę, upadłszy wprost w ramiona swojego wroga. Prawie natychmiast uczuł, że chwyta go za gardło jakaś ręka żelazna, która usiłuje go udusić.

Jedną ręką chwycił kurczowo drugą rękę swojego przeciwnika, aby ją ubezwładnić, a wolną pięścią jął zadawać razy w szyję i szczęki olbrzyma, który nie czuł zupełnie nic. Wtedy podstawił mu nogę i obaj zwalili się ponownie na podłogę. Ani jeden ani drugi nie zauważył Cecylii, która stała z szeroko rozwartymi oczyma w drzwiach chaty, patrząc na nich z przerażeniem.

Zatoczyli się niemal pod jej nogi. Zobaczyła zsiniałą i pokrwawioną twarz olbrzyma, masakrowaną pięściami Filipa, który bił i bił bez ustanku. Zobaczyła również obie kosmate ręce człowieka, czerwone od własnej krwi, duszące teraz Filipa za gardło.

Krzyknęła i fioletowy lazur jej oczu rozpłomienił się ponurym ogniem walki.

Jak strzała skoczyła ku grubemu kijowi, opartemu o jedną z przegród chaty. Filip ujrzał jej bladą twarz, obramowaną złotem, za kolosem, który go dusił i razy, jakie spadały na jego pochylony kark. Uścisk rozluźnił się momentalnie i ogłuszony nieznajomy stracił przytomność.

Filip zerwał się na nogi i rozwarłszy szeroko ramiona uścisnął z głośnym śmiechem zadyszaną łkającą Cecylię.

Tymczasem nieznajomy człowiek był przez chwilę przedmiotem zupełnej obojętności. Jeśli nie umarł nie mógł już być szkodliwy. Na pół zadławiony Filip jął oddychać pełnymi piersiami, czerpiąc świeże powietrze. Potem przymrużył oczy, chcąc przeniknąć półmrok chaty.

Nie mógł się powstrzymać od krzyku radości, ujrzawszy strzelbę, opartą o ognisko z ułożonych i ziemią spojonych kamieni! Dokoła strzelby zwieszał się pas

skórzany z futerałem, a w futerale był rewolwer! W owej chwili było to więcej warte, niż sztaby złota!

Filip przypasał sobie natychmiast pas. Pas ten wyładowany był cały nabojami w liczbie czterdziestu. Dwa rzędy nabojów przeznaczone były dla strzelby, wśród nich kule dum-dum z miękkimi końcami. Jeden rząd dla rewolweru. Rewolwer, cały wyładowany, był dobrego kalibru, numer 0.303, a strzelba najnowszego systemu.

Zbliżył się do drzwi i zawołał silnym i groźnym głosem:

— Możecie teraz przyjść, potwory! Nie lękam się was odtąd. A więc, chodźcie bliżej! Przystąpcie! Pierwszy który się zbliży może być pewny, że za minutę będzie trupem!

W ciszy rozległ się inny krzyk, pochodzący z niewielkiej odległości. Była to odpowiedź na wyzwanie, rzucone przez Filipa.

XXI.

Blake staje się rozmowny.

Na ów krzyk Filip i Cecylia jęli nadsłuchiwać.

Rozległ się on na nowo i brzmiał inaczej niż poprzedni:

— Ma-too-ee!

Jest to przeciągły okrzyk Eskimosów, podawany swoim towarzyszom. Ów skierowany był bez wątpienia do człowieka z chaty.

Podczas gdy Filip obserwował śnieg i badał wzrokiem drzewa i krzaki, Cecylia wróciła do chaty. Człowiek, którego ogłuszyła kijem, począł się poruszać. Przywołała Filipa, który posłał ją, aby go pilnowała i postanowił zabezpieczyć się przed swym więźniem.

Skórzaną linewką, którą zabrał jednemu z poległych Eskimosów, związał mu ręce i nogi. Kiedy zajęty był tą czynnością, snop światła padł na twarz i piersi skrępowanego olbrzyma, którego odzienie podarło się w czasie walki. Czerwonawy, wytatuowany obraz, wyryty na piersiach olbrzyma, zwrócił uwagę Filipa.

Przedstawiał on rekina z olbrzymimi rozdziawionymi szczękami, walczącego z harpunem, który go przeszył na wskróś i od którego usiłował się uwolnić. W dole wyryte były nieco zatarte litery, tworzące nazwisko. Filip odczytał je: „B-L-A-K-E". Inicjał G. oznaczał imię.

— Blake! — powtórzył Filip, podnosząc się. — Bez wątpienia Jerzy Blake. Marynarz i biały!

Tymczasem Blake odzyskał przytomność i wymamrotał jakieś niezrozumiałe słowa, gdy tymczasem Cecylia przywołała do drzwi Filipa. Ów nadbiegł, kryjąc się jak najzręczniej i spojrzał. W odległości prawie pięćdziesięciu jardów zbliżała się sfora psów.

Było tam ośm psów rasy eskimoskiej, z małą głową lisa, jakie się spotyka nad Oceanem Lodowatym. Ciągnęły sanki, suto wyładowane, a za nimi szedł przewoźnik, zakapturzony i odziany w futra, przysadkowaty, rzucając krótkim i donośnym głosem rozkazy.

Tymczasem z podłogi chaty rozległ się pomruk. Filip odwrócił się i ujrzał oczy Blakea, które wpatrywały się w niego, szeroko otwarte i nabiegłe krwią. Krwawiące jego usta skurczyły się w szyderczy uśmiech i usiłował rozerwać krępującą go linewkę skórzaną.

Równocześnie Cecylia przypatrywała się również uważnie Blakowi i wzrok jej zdradził głębokie zdumienie. Kiedy olbrzym wyprostował się do połowy, ukazując twarz w świetle dziennym, krzyknęła głośno, a wtedy on spojrzał w jej stronę. Zwierzę spętane na podłodze i stojąca przed nim dziewczyna patrzyli na siebie, tworząc niespodziewany, pełen konstrastów obraz, któryby w innych okolicznościach ubawił żywo Filipa.

Zdawało się, że oboje poznają się i Cecylia była tym przerażona, podczas gdy w oczach Blakea malował się rosnący nieustannie lubieżny zachwyt.

Scenę tę przerwał głos zbliżających się coraz bardziej Eskimosów. Blake spojrzał natychmiast ku drzwiom z radosnym pomrukiem i pod naciskiem jego muskułów skórzana linewka, krępująca jego ręce, pękła jak słaba

nitką. Niemniej szybko Filip skierował przeciw niemu lufę wielkiego rewolweru i oparł ją o głowę swojego więźnia:

— Wymów słowo, — rzekł, — zrób najmniejszy ruch, a nie będziesz żył, Blake . . . Potrzebuję tej uprzęży i tych sanek . . . Jeśli piśniesz tylko słówko, mózg twój rozpryśnie się po podłodze!

Pozostawiwszy Blakea pod strażą Cecylii, która chwyciła również strzelbę i trzymała palec na kurku, gotowa każdej chwili wystrzelić, Filip wyszedł z chaty, gdy sanki zazgrzytały na śniegu wpośród ujadania psów. Eskimos, który prowadził sanki, ujrzał z osłupieniem czarne oko rewolweru skierowane przeciwko sobie. Niepotrzebne były słowa, aby zrozumiał, że musi wejść do chaty na czworakach pod grozą kuli rewolwerowej.

Kiedy znalazł się wewnątrz chaty, Filip dał mu do zrozumienia, że musi się odwrócić i skrępował mu silnie ręce na plecach. To samo uczynił potem z Blakem, używszy podwójnej linewki, podczas gdy Cecylia stała z przygotowaną do strzału strzelbą, gotowa położyć trupem każdego, któryby się jej oparł. Jej spokój był doskonały.

Kiedy Filip skończył, opuściła broń i oparła ją o ścianę chaty. Następnie pobiegła do Blakea i wśród niezmiernego poruszenia usiłowała wytłumaczyć Filipowi, jak poznała już ich więźnia.

Blake nie był wcale przejęty strachem i oczy jego patrzyły na Cecylię z taką sprośną pożądliwością, że Filipa przeszedł dreszcz. Potem wybuchnął śmiechem:

— Nie rozumiesz nic, towarzyszu, co? — zachichotał. — I ja również nie! Ale pojmuję, co ci chcę na próżno wytłumaczyć. To jest diabelnie komiczne!

Spojrzał ku drzwiom, spodziewając się, że lada chwila nadejdzie pomoc. A kiedy nic nie nadchodziło, ogarnęła go wściekłość. Zaczął wrzeszczeć:

— A więc ty jesteś Filipem Brantem z Policji Królewskiej, co? Przeczytałeś zapewne moje nazwisko: Blake. Ale G. nie znaczy George (Jerzy). Jeśli zechcesz przeciąć linewkę, która krępuje mi nogi, abym mógł się wyprostować lub przynajmniej usiąść opowiem ci coś. Patrz, z tak skrępowanymi rękami nie mogę ci nic złego uczynić. Ale pozwól mi się wyprostować trochę. Nie mogę mówić, leżąc na grzbiecie i dławi mnie jabłko Adama, gdy otwieram usta . . .

Filip wziął strzelbę i podał ją Cecylii. Potem przeciął nożycami więzy Blakea, który wstał.

— A teraz mów! — rozkazał Filip, przyłożywszy rewolwer do jego piersi. — Daję ci minutę czasu do wypowiedzenia tego, co wiesz. To ty przyprowadziłeś aż tutaj Eskimosów. Dlaczego zawzięliście się na tę dziewczynę i co zrobiliście z jej rodzicami?

Krwawiące usta Blakea wykrzywiły się sarkastycznym uśmiechem i odparł powoli:

— Nie jestem człowiekiem nielękającym się niczego, — rzekł. Okłamujesz mnie, ale ja znam się również na kłamstwie. Kłamiesz, skoro mówisz, że strzelisz. Nie, ty nie strzelisz i nie masz ku temu najmniejszej chęci. Mogę mówić lub milczeć, jak mi się podoba. Zanim się zdecyduję, dam ci małą przestrogę. Zabierz te sanki, stojące na dworze i psy i umykaj sam przez Barren, jak możesz najszybciej. Powiadam ci, sam, rozumiesz mnie. Tę dziewczynę zostaw tutaj i nie troszcz się o nią. Tylko w ten sposób możesz uniknąć losu . . .

Wykrzywił ironicznie twarz i wzruszył ramionami.

— Chcesz powiedzieć, — dokończył Filip, tłumiąc gniew, — losu Olafa Andersona i innych, tam, na północy, w cieśninie Bathursta?

Blake skinął potakująco głową.

Filip drgnął dziwnie i wydawało mu się, że Blake musi słyszeć bicie jego serca. W tej chwili dowiedział się o tym, o czym na próżno usiłowała wiedzieć policja od dwóch lat. Człowiek, którego miał przed sobą, Blake, był owym tajemniczym, białym wodzem Kogmolloków, odpowiedzialnym za wzmagające się coraz bardziej zbrodnie małych demonów, przybłąkanych z Oceanu Lodowatego. On sam przyznawał się do zamordowania Olafa Andersona!

Palec jego drgnął na chwilę na kurku rewolweru. Ale opanował się i spojrzawszy Blakowi bystro w oczy, opuścił powoli broń, a potem schował ją do futerału!

Wzrok Blakea błysnął radością. Triumfował, myślał, że chytrość jego odniosła skutek.

— Jest to jedyne wyjście dla ciebie, — powtórzył. — Mówię ci, że jedyne. I nie trać ani chwili czasu.

Istotnie, Kogmollokowie musieli być już blisko.

— Może masz słuszność, — odparł Filip z udanym wahaniem, zmieniwszy głos. — Ale pozwól mi zabrać dziewczynę. Jej jedynym pragnieniem jest wrócić do swojego ojca. Gdzie jest jej ojciec?

— W pobliżu rzeki Pokładów Miedzi, prawie o sto mil od jej ujścia. Znajdziesz go żywego. Ale dziewczynę zostawisz tutaj. Uchodź chyłkiem i bądź zadowolony, że wydostałeś się z ambarasu, w jaki wpadłeś.

— Słuchaj, Blake, graj ze mną w otwarte karty, a ja będę również z tobą szczery. Nie mogłem zrozumieć

ani słowa z tego, co mówiła do mnie ta kobieta i nie wiem nic o niej, chyba to, że troszczył się o nią Bram Johnson, aż do chwili, gdy twoje małe szczury wciągnęły człowieka-zwierzę w zasadzkę i jak myślę, zamordowały go. Zanim ją opuszczę, chcę wiedzieć, kim ona jest, kto jest jej ojcem i co chcesz z nią uczynić. Odpowiedz mi szczerze, a nie strwonię ani chwili.

Blake zaśmiał się szyderczo i zbliżył się do Filipa.

— Co ja chcę od niej? — rzekł powoli. — Gdybyś przez pięć lat nie widział żadnej białej kobiety i gdybyś pewnego dnia spotkał na swojej drodze, w odległości dwu tysięcy mil od wszelkiej cywilizacji, taką anielską istotę jak ona, cóżbyś uczynił? Czegobyś zażądał od niej? Gdybym nie był potrójnym, poczwórnym głupcem, dałbym sobie radę i osiągnąłbym swoje, jeszcze za pierwszym razem, nim przybył z swoimi wilkami ten diabelny Bram Johnson i wyrwał ją z rąk moich i Eskimosów.

Filip powstrzymał się tylko z trudem, podczas gdy Cecylia przyglądała się z niepokojem obu mężczyznom i usiłowała odgadnąć, co mówili.

— Tak, tak, rozumiem, — odparł Filip. — Wymknęła się tobie w odpowiedniej chwili. Ale czy wiedziała choćby, czego od niej chciałeś? Powiedziałeś jej choćby? Jestem przekonany, że w owej chwili nie znała jeszcze twojej miłości ku niej. Widziała w tobie tylko zwyczajnego przyjaciela. Powetujesz to sobie, co?

Oczy Blakea zabłysły, podczas gdy twarz jego spochmurniała.

Wtedy Filip wybuchnął i zanim jeszcze przemówił, Blake poznał, że udawał.

— Jeśli nigdy nie wznosiłem do Boga modłów dziękczynnych, — rzekł Filip, to czynię to dzisiaj. Tak, dzię-

kuję Bogu, że w ohydnym ciele, w monstrualnym kadłubie i obłąkanym umyśle Brama Johnsona żyła dusza. A teraz dotrzymam słowa i nie stracę ani chwili. Chodź ze mną!

Blake wydał z siebie stłumiony ryk.

— Gdzie mam iść? Co chcesz powiedzieć?

— Co, jeszcze nie odgadłeś? Nie odgadłeś jeszcze, że chcę się udać w towarzystwie tej kobiety nie na południe, ale nad rzekę Pokładów Miedzi i że pójdziesz z nami? Otóż słuchaj dobrze, posłuchaj uważnie! Może w drodze trzeba będzie stoczyć walkę. W takim razie zapamiętaj sobie, że pierwszy strzał przeszyje twój mózg. Rozumiesz? W chwili, gdy jeden choćby z twoich małych zbrodniarzy pokaże koniec nosa na naszej drodze, zabiję cię. Uczynisz więc lepiej, jeśli wytłumaczysz to wszystko tej sowiej gębie, która wytrzeszcza te swoje oczy. Każ temu drabowi aby oznajmił to swoim braciom, jeśli przybędą. Niech ich objaśni, a dokładnie. A więc śpiesz się. . . Czy myślisz, łotrze, że kłamię jeszcze?

XXII.

Ku rzece Pokładów Miedzi.

Blake zrozumiał, że minął czas na żarty. Zwróciwszy się do Eskimosa powiedział mu w jego języku kilka krótkich słów.

Filip wiedział doskonale, że dawał Kogmollokowi zlecenia, w jaki sposób banda miała, działać aby wyrwać go z jego rąk. Ale wiedział także, że zalecał im roztropność i ostrzegał, iż nie odbędzie się bez poważnych niebezpieczeństw, ponieważ strzelba i rewolwer zmieniły swoich właścicieli.

Kiedy Blake skończył, wypchnął go za drzwi, aż do zaprzężonych sanek. Sanki wyładowane były po brzegi świeżym mięsem renifera. Było tego prawie tysiąc funtów. Filip zatrzymał ledwie czwartą część, resztę zrzucił na śnieg. Potem usadowił wygodnie Cecylię i zdjąwszy ostatnie więzy, krępujące Blakea, którego nogi były już wolne, uwolnił jego prawą rękę. Podał mu w końcu bat, zabrany Eskimosowi i rzekł:

— Teraz, Blake, biegnij obok psów i popędzaj je. Prosto ku rzece Pokładów Miedzi i to najkrótszą drogą! Chodzi zarówno o twoje, jak i o moje życie! Najmniejszy podejrzany znak, a umrzesz!

Blake mruknął:

— Pan zwariował. Boże! Prawdziwy wariat!

Filip odpowiedział tylko:

— Masz! I w drogę . . .

Blake trzasnął z bicza i rzucił po Eskimosku krótki i energiczny rozkaz. Psy podniosły swoje brzuchy, spłaszczone na śniegu i pobiegły na swoich łapach. Nowy rozkaz i sanki ruszyły pędem. Eskimos widział ze smutkiem z progu chaty znikające szybko sanki.

Filip, który szedł piechotą, podobnie jak Blake, oddał strzelbę w ręce Cecylii, która trzymała ją na kolanach w zaciśniętych dłoniach, położywszy palec na kurku i gotowa strzelić, gdyby Blake usiłował uciec. Powierzył jej to ważne zadanie, ponieważ wiedział, że wywiąże się z niego bez zarzutu. Biegł obok sanek, a widząc ją poważną i czujnie wpatrzoną w szeroki grzbiet Blakea, jął się śmiać. Cecylia zwróciła na chwilę oczy ku niemu i zarumieniła się, widząc, że patrzy na nią z zachwytem.

— Blake ma słuszność, — rzekł półgłosem. — Czyniąc tak, jestem szaleńcem. Tylko dla twojej przyjemności odbywam podróż do twojego ojca. Narażamy nasze życia. Może nie zdajesz sobie z tego dokładnie sprawy, moja ukochana? Jadąc na południe, bylibyśmy wkrótce zdrowi i cali, a Eskimosi nie mieliby odwagi ścigać nas dłużej. Wtedy byłbym pewny, że posiądę cię na zawsze . . .

Cecylia uśmiechnęła się, słuchając jego słów i nie rozumiejąc ich.

— . . . A może, gdy przybędziemy do niego, znajdziesz go martwego. Los nasz zależy od Blakea. Pilnuj go dobrze. Ja uczynię to samo.

I postąpiwszy naprzód sanek, nabił wielki rewolwer który mógł na trzydzieści kroków zabić Blakea.

Blake prowadził sanki w kierunku północno-zachodnim i bez wątpienia zdążali ku rzece Pokładów Miedzi, owej wielkiej rzeki, teraz zamarżniętej, wpadającej do Oceanu Lodowatego. Kiedy drzewa i gęstwiny przerzedzały się, Filip zbliżał się do Cecylii. Ale kiedy teren stawał się dogodniejszy do zasadzek, wracał do Blakea, trzymając rewolwer w pogotowiu. Wtedy Cecylia pilnowała śladów za nimi, chociażby nawet nic się na nich nie pojawiało.

Jechali tak przez trzy kwadranse, kiedy Blake rzucił krótki rozkaz i zatrzymał swoje psy.

Karawana znajdowała się na małym nasypie, dominującym nad lesistym Barrenem, za którym zarysował się czarną linią drugi mały lasek. Blake wskazał palcem jodły, skąd wydobywał się słup dymu smolnego.

— Teraz niech pan zadecyduje, — rzekł do Filipa, — co pan chce uczynić. Droga nasza przechodzi przez te jodły, a tam widzi pan dym. Musi tam być kilkudziesięciu Eskimosów, karmiących się właśnie mięsem renifera. Jeśli pojedziemy dalej, zobaczą wkrótce nas i psy i w rezultacie napadną nas. Kraj, do którego wchodzimy, jest prawdziwą jaskinią łotrów, przesiąkniętą krwią... Ostrzegam pana z całą życzliwością, ponieważ nie chcę połknąć kuli, jaką mi pan przyrzekł.

Słowa Blakea wydawały się szczere, jednak Filipowi zdawało się, że w spojrzeniu jego ukrywa się jakaś podstępna myśl.

Blake zbliżył się i jął mówić dalej:

— Uważaj, Filipie Brant! Jeśli uprze się pan, aby iść dalej, przy końcu dnia ścigać nas będzie dwustu Eskimosów. Bądź pan szczęśliwy, że zatrzymałem tutaj psy

miast rzucić pana na łup morderców. Korzystaj pan z tego, jeśli życie panu miłe. Oddaj mi dziewczynę i uciekaj w przeciwnym kierunku z sankami i psami.

Kłamstwo było jasne.

— Pojedziemy dalej, — rzekł Filip spojrzawszy na Blakea energicznie i z pogardą. — Chyba ty najprędzej możesz przejść obok Eskimosów bez obawy. Będziesz moją osłoną, albo cię zabiję. Może wtedy, gdy umrzesz, dostaną mnie Eskimosi w swoje ręce. Ale nie dostaniesz dziewczyny. Zrozumiałeś? Wkrótce skończymy naszą grę. Jeden z nas wygra lub przegra, i mam przekonanie, że ty zapłacisz w końcu wszystkie długi.

Wzrok Blakea spochmurniał na nowo. Mruknąwszy i wzruszywszy ramionami, popędził znowu psy trzaśnięciem bicza i przybrał zrezygnowaną minę.

I istotnie, podejrzany las ominięto zręcznie i bez żadnego wypadku.

Filip szedł obok Blakea i nie oddalał się od niego ani na krok. W łotrowskich jego oczach taił się nieokreślony wyraz, mimo pozornej uległości. Było w nich coś groźnego i szyderczego, obłuda duszy, zdolnej do niebezpiecznej zdrady.

Nagle, na skraju uciążliwego terenu, zasianego małymi pogórkami, zakrywającymi horyzont, Blake wskazał batem szeroką, wolną przestrzeń i rzekł:

— Oto jest rzeka Pokładów Miedzi!

XXIII.

Blake wymyka się.

Filip patrzył na olbrzymi teren lodowy, który tworzyła rzeka, gdy uwagę jego odwrócił krzyk Cecylii.

Pokazała mu palcem olbrzymi wierzchołek góry, który w sposób niespodziewany wyłaniał się z powierzchni równiny nakształt grobowca cyklopów.

Blake zaśmiał się głośno i wzrok jego padł zuchwale na zarumienioną twarz dziewczyny.

— Ona panu wytłumaczy, — rzekł do Filipa, — że Bram Johnson i ona byli już w tym miejscu. Ona i Bram, który jest takim samym wariatem jak pan.

Nie czekając na odpowiedź Filipa popędził psy wzdłuż pochyłości i w kwadrans potem sanki znalazły się na zamarzniętej powierzchni rzeki.

Filip odetchnął z ulgą. Nie było już zdradzieckich lasów, ani podejrzanych krzaków, dogodnych dla zasadzek. Jak daleko sięgnąć okiem, prócz owego bloku skalnego, rozciągał się olbrzymi Barren, który zdawał się pochłaniać nawet rzekę. Nawet w nocy nie potrzeba było obawiać się żadnej napaści wrogów. Niepokojący był tylko Blake i jego szydercza gęba. Był on przecież zdecydowany narazić swoje życie, aby Filipa wydać w ręce Eskimosów.

Sanki pędziły teraz z największą szybkością po rzece Pokładów Miedzi, w nieskończoną pustynię Northlandu, w którą się zwolna pogrążały. Filip śledził coraz pilniej Blakea i po godzinie tego tajemniczego badania doszedł do przekonania, że bandyta, mimo czujnego wzroku, który czuł na sobie, zdradzał coraz otwarciej pewność siebie, rodzącą się w jego mózgu. Filip czuł, że zbyteczne jest wypytywać więźnia, ponieważ może on swobodnie mówić prawdę lub kłamać, być uległym lub zdradzić.

Kiedy tak biegli obok siebie, Blake jął się nagle śmiać.

— To komiczne, — rzekł z ironią w głosie, — pan, Filipie Brant, zaczyna mi się coraz bardziej podobać. Omal mnie pan nie zamordował, a obecnie grozi mi pan nieustannie śmiercią. Czy to dlatego, że czuję do pana tak wielką sympatię i że jestem szczerze zasmucony na myśl o tym, że pan pędzi prosto w otchłań piekielną? Drzwi otworzą się przed panem bardzo szeroko.

— A wtedy ty pójdziesz ze mną?

Śmiech Blakea stał się ochrypły.

— Och, ja się nie liczę. Ale źle pan zrobił, że odrzucił pan zaofiarowane przeze mnie warunki umowy: młoda dziewczyna dla mnie, dla pana bezpieczeństwo i życie. Teraz gubi pan siebie, a wraz z sobą i mnie. Zdaje mi się, że pan sobie wyobraża, jakobym potrafił zmusić do poszanowania całe plemię Kogmolloków? Myli się pan. Mają oni innych przywódców, których słuchają. A my zapuściliśmy się bardzo daleko w ich kraj . . .

Westchnął głęboko i dodał:

— Odmawiając mi tej kobiety, zniszczył pan moje piękne marzenie!

— Jakie marzenie?

Blake krzyknął na psy. Potem ciągnął dalej:

— Mam tam, w dole, piękną chatę. Sporządzona jest cała z fiszbinu i dobrego drzewa, pochodzącego z kadłuba rozbitych statków. Tam chciałem ją osadzić. Czy przedstawia sobie pan takie marzenie, Filipie Brant? Oto co pan zniszczył!

— Skoro mówisz do mnie szczerze, Blake, bądź szczerym aż do końca i opowiedz mi resztę. Jak się ma jej ojciec? Gdzie są inni jego towarzysze?

Blake stłumił swój gardłowy śmiech, jak gdyby Filip obudził tymi słowami drzemiącą w nim myśl.

— Ojciec jest zdrów i cały. Czy nie wie pan, że ci prości Kogmollokowie mają ogromny szacunek dla teściów? Teść jest bogiem, wędrującym na dwóch nogach, uświęconym przedstawicielem rodziny. Kiedy Kogmollokowie zobaczyli, że pragnieniem moim jest pojąć za żonę tę młodą dziewczynę, nie dokuczali mu i nie szkodzili więcej. Oto dlaczego żyje dotąd w swojej chatce. Nie mogę tego samego powiedzieć o innych: wszyscy nie żyją. Ale niech się pan zastanowi, Filipie Brant, jakiego ambarasu narobi pan jej i sobie. Gdyby pan mnie zabił i Eskimosowie dostali pana w swoje ręce, cóżby się stało z dziewczyną? Jest u Eskimosów metys i jemu przypadłaby bez wątpienia. Eskimosi nie lubią kobiet białych i nie odmówiliby jej metysowi. Neleżałaby do niego.

Powiedziawszy to, trzasnął z bicza i krzyknąwszy na psy, popędził zaprzęg do szybszego biegu.

Filip nie wątpił, że w słowach Blakea niewiele jest prawdy. Rzeź towarzyszy Cecylii i powód oszczędzenia jej ojca były prawdopodobne. Ale sama szczerość wyznań była niepokojąca. Czyżby Blake był tak pewny, że się wymknie.

W ciągu następnych godzin Blake nie otworzył ust. Uważał widocznie, że powiedział dosyć. Nie próbował

wznawiać rozmowy i nie odpowiadał na pytania Filipa. Przeciwnie, popędzał psy z taką zajadłością, że mogły paść ze zmęczenia przed zapadnięciem nocy.

Filip wiedział, że w zawadiackiej głowie Blakea pali się zuchwała i oporna myśl. Szczególnie podejrzany był ów pośpiech, z jakim chciał dojechać do celu. Od chwili wyjazdu, w ciągu trzech godzin popołudnia, przebyli około trzydzieści pięć mil. Barren był ponury i bez żadnego życia.

Między trzecią a czwartą godziną pojawiły się jodły z prawej i lewej strony rzeki. Zwolna stawały się gęstsze i podobne do czarnych ścian prawdziwego lasu. Filip baczył na to, aby sanki jechały środkiem rzeki, której pusta i zamarznięta przestrzeń chroniła ich przed zasadzkami. Dwieście jardów oddzielało zwyczajnie jeden brzeg od drugiego, a przestrzeń ta bywała niekiedy podwójnie wielka. Obawiać się należało tylko strzału ze strzelby. Bez względu na to, czy kula dosięgłaby ich, Blake zginąłby na miejscu.

Kiedy jął ich osnuwać szary zmierzch nocy polarnej, Filip odczuł zmęczenie wskutek tej szalonej jazdy. Nogi uginały się pod nim. Na saniach siedziała skurczona i nieruchoma Cecylia i zdradzała znużenie fizyczne w fałdach swojej twarzy. Psy, które biegły bez ustanku przez całe popołudnie, były teraz wyczerpane. Tylko Blake był nieznużony.

Około godziny szóstej las świerkowy przerzedził się i zaczęła się płaska równina. Tu i ówdzie stały samotne drzewa, rozsiane nad brzegami rzeki. Przestrzeń, przebyta od rana, w ciągu dziewięciu godzin, nie wynosiła mniej, niż pięćdziesiąt mil. Filip kazał zatrzymać się.

Zatrzymali się w środku rzeki. Pierwsza rzecz, którą uczynił Filip, było ponowne skrępowanie prawej ręki

i nóg bandyty. Potem oparł go o mały wzgórek zamarzniętego śniegu, o kilka kroków od sanek. Blake zgodził się na to z udaną obojętnością.

Potem, gdy Cecylia rozprostowała nogi i zaczęła się przechadzać, aby rozgrzać krew w przemarzniętym ciele, oddalił się szybko w kierunku karłowatych jodeł, rosnących nad brzegiem rzeki i wrócił z wiązką zeschłych gałęzi. Sporządził z nich małe ognisko, możliwie ukryte i zasłonięte w części przez sanki.

W ciągu dziesięciu minut mięso było zgotowane. Filip zgasił natychmiast ogień, zdeptawszy go nogami. Rozdzielił jadło psom i przy pomocy skór niedźwiedzich urządził dla siebie i dla Cecylii miękkie i wygodne gniazdko, naprzeciw Blakea. Noc była już zupełna i tak nieprzejrzystą, że ciemna sylwetka więźnia ledwie się rysowała na białym śniegu.

Mając ciągle rewolwer koło siebie, Filip objął Cecylię swoimi ramionami. Oparła głowę o jego piersi i objęła go również czule. Zanurzył swoje usta w jej złotej grzywie, której warkocze opadły na jego ręce, nie spuszczając z oczu Blakea i słuchając pilnie głębokiego oddechu znużonych psów, jedynego dźwięku wśród ciemności.

Wkrótce jęły gwiazdy błyszczeć na niebie i napełniać jego sklepienie swoją światłością. Mroki rozprószyły się i biała ziemia zajaśniała wspaniałym mrozem nocy polarnej. Pod żywym i migotliwym światłem niebios Filip widział błyszczące jak welon złote włosy Cecylii, rozesłane na ramionach ich obojgu. Przed sobą widział w tym miłosnym upojeniu oczy Blakea, płonące jak dwa rozżarzone węgle. Z prawej i lewej strony wznosiły się wyraźnie dwa strome brzegi rzeki Pokładów Miedzi. Na dwieście jardów odróżnić można było zbliżającego się człowieka.

Upłynęło trochę czasu. Filip zauważył, że głowa Blakea pochyliła się na piersi, a oddech jego stawał się coraz głośniejszy. Myślał, że zasnął. Cecylia, przytulona do niego jak ptak, zasnęła wkrótce. On jeden czuwał. Psy, rozciągnąwszy się na brzuchach, leżały milczące i nieruchome.

Czuwał w ten sposób przez godzinę. Blake nie poruszał się już. Żadnych podejrzanych ruchów, żadnych znaków. Noc stawała się coraz bielsza. Filip trzymał w ręce rewolwer. Odbijał się w nim blask gwiazd, który bez wątpienia zauważyłby Blake, gdyby otworzył oczy.

Ale sen ogarnął z kolei Filipa i na próżno walczył z nim z rozpaczą w sercu. Podobnie jak w ową noc, gdy wpadł w ręce Brama Johnsona, pokonany znużeniem i żądzą wypoczynku. Czuł kilkakrotnie, że oczy jego zamykają się i tylko z ogromnym trudem zdołał je otworzyć.

Chciał, aby wspólny wypoczynek trwał najwyżej dwie lub trzy godziny. Upłynęły już dwie godziny, gdy po raz dwudziesty otworzył przemocą oczy. Spojrzał na Blakea. Blake nie ruszał się. Głowa jego zwisała ciągle na piersi.

Wtedy zwolna i niepokonanie znużenie ciała pokonało wolę Filipa. Zasnął. Ale nawet we śnie świadomość wołała, że nie powinien spać, niepokoiła go, aby się obudził, ostrzegała go przed niebezpieczeństwem.

Ów głos wewnętrzny dokonał w końcu swego. Powieki jego rozstąpiły się i pierwszym jego wrażeniem było silne zadowolenie, że pokonał sen. Potem oczy jego przeniosły się ku Blakeowi. Pagórek śnieżny stał ciągle. Gwiazdy błyszczały nieustannie i noc była niezmiernie zimna.

Ale Blake . . . Gdzie się podział Blake?

Serce Filipa drgnęło gwałtownie.

Blake zniknął!

XXIV.

Olaf Anderson.

Zaledwie Filip spostrzegł, że Blake uciekł, zapomniał o Cecylii i przykląkł. Cecylia osunęła się na ziemię i obudziła się nagle, nic początkowo nie rozumiejąc. Mignął jej przed oczyma blask rewolweru Filipa. Potem spojrzała przed siebie i zrozumiała, że Blakea już nie było.

Filip ogarnął bystrym spojrzeniem otaczający go, blady widnokrąg. Ale Blake zniknął bez śladu. W owej chwili Filip potrącił nogą strzelbę, leżącą u nóg Cecylii i odetchnął z ulgą. Blake nie zabrał jej ze sobą. I nie uwięził Filipa ani Cecylii. Dlaczego? Było to na razie niewytłumaczone.

Filip zrozumiał, że Blake nie chciał się narazić na kulę, sądząc, że on nie śpi i nie chcąc się zbliżać do niego. A może umknął w chwili, gdy Filip zaczął się budzić. Chciał tylko uratować swoją głowę, pozostawiając broń wrogom.

Pozostawiwszy Cecylię w skórach, Filip otrząsnął się ostatecznie ze snu i ostrożnie zbliżył się do pogórka śnieżnego, przy którym leżał bandyta. Odskoczył nagle i krzyknął z przerażenia. Blake nie uciekł o własnych siłach. Za pagórkiem ciągnęła się głęboka brózda, podobna do śladu, jaki pozostawia po sobie niedźwiedź morski.



Cecylia zbliżała się do Filipa ze strzelbą w ręce.

Filip wiedział, że Eskimosi ryją podobne ślady, gdy pełzają na brzuchu, chcąc podejść śpiącą, dziką zwierzynę. W ten sposób otrzymał Blake w stosownej chwili pomoc. Dwaj ludzie, których odmienne ślady widniały na śniegu, pełzając na rękach i kolanach, wymknęli się z powrotem.

Cecylia zbliżyła się do Filipa ze strzelbą w ręce. Podobnie jak on przypatrywała się z trwożną ciekawością wymownym śladom, wyrytym na śniegu. Filip, który czuł się winny, był teraz zadowolony, że on i młoda kobieta nie mówią tą samą mową, i że Cecylia nie może go wypytywać o tę niepokojącą inwazję inaczej, jak wzrokiem.

Odebrał jej z rąk strzelbę i wsunął rewolwer do futerału. W razie napadu Eskimosów, którego należało się wkrótce spodziewać, strzelba będzie skuteczniejszą na dalszą odległość. Kogmollok, który uwolnił Blakea, musiał mieć w pobliżu lub nieco dalej swoich towarzyszy.

Ucałował szybko ciepłe usta Cecylii i uścisnąwszy ją krótko, posadził ją na sanki. Niestety, zbyt dobrze zrozumiała, o ile pogorszyło się ich położenie. Potem udał się do psów i zbudził je.

Mimo zmęczenia i wyczerpania usłuchały jego rozkazu i pociągnęły zaprzęg. Sanki ruszyły. Długi bat świsnął groźnie nad ich grzbietami, smagnąwszy je lekko i sanki pognały szybciej.

Ukazał się księżyc, otoczony opalizującą mgłą, która opadała na ziemię i niemal zakrywała teraz podwójny brzeg rzeki. Sanki pędziły prosto lodowatym śladem. Filip biegł obok psów i prosił żarliwie Boga, aby Eskimosi nie pokazali się przed świtem.

Ważąc naprzód bieg wydarzeń, spodziewał się, że przybędą cało do chaty, o której mówił Blake, a do której schronił się ojciec Cecylii. Skoro znajdzie się tam będzie się bronił, a gdy go napadną, pierwszy swój strzał wy-

mierzy przeciw Blakeowi. Zdołałby bowiem może pogodzić się z Kogmollokami. Ale on uwziął się na Cecylię. Zdarzało się, że Eskimosi trzymali białych więźniów jako zakładników przez cały rok, nie czyniąc im żadnej krzywdy.

Ale czy Blake narazi się na niebezpieczeństwo? Oto była zagadka. Jeśli się nie pokaże, Filip gotów był użyć podstępu. Wywiesi białą chusteczkę i zażąda prowadzenia układów z bandytą. A wtedy, gdy się znajdą naprzeciw siebie, strzeli mu prosto w łeb. Konieczność usprawiedliwia wszystkie środki, jeśli się ma do czynienia z tego pokroju łajdakiem.

Jeśli napad nastąpi przed osiągnięciem chaty, Filip wywróci sanki, za którymi skryje się Cecylia, jak za barykadą.

Pokrzepiony tym na duchu, Filip popędzał psy, raz wołając ich po imionach, które poznał od Blakea, to znowu smagając ich grzbiety biczem. W widmowej poświacie bladej światłości księżycowej psy biegły jak milczące cienie. Słychać było tylko szelest ich łap, tupiących po gładkim lodzie rzeki, owo klak, klak, klak, jak trzaskanie małych kastanietów wśród skrzypienia fiszbinowych łyżew sanek.

Mila za milą rozwijała się długa, zamarznięta wstęga rzeki Pokładów Miedzi za zaprzęgiem, pędzącym w nieskończoność. Księżyc zaszedł już na widnokręgu i wśród zupełnych ciemności Filip pomagał zadyszanym ze zmęczenia psom, ciągnąc wraz z nimi zaprzęg. Od czasu do czasu zbliżał się do Cecylii, obejmował ją czule i wśród pieszczot zapewniał ją, że wszystko idzie gładko.

W końcu zaświtała jutrzenka, potem nastał dzień. Cienie nocy rozprószyły się i dwa brzegi rzeki zarysowały się ponownie, zrazu słabo, potem z zupełną wyrazistością.

Po przebyciu mili drogi Filip, który sądził, że pod tą szerokością drzewa zniknęły zupełnie, ujrzał czarny skrawek nowego lasu, który wśród białej pustyni wyglądał jak wielki palec wyciągnięty ku zachodowi. W pobliżu brzegu lasu stała chatka, a z chatki tej ulatywał w powietrze dym.

Cecylia przywołała Filipa i pokazała mu chatkę, a potem głosem przerywanym łkaniem tłumaczyła mu gadatliwie tysiąc rzeczy, których nie rozumiał, ale z których najważniejsze było łatwe do odgadnięcia. Oto tutaj winien się znajdować Armin, ojciec młodej kobiety, jeśli jeszcze żyje, jak to zapewniał Blake. Osiągnięto cel niebezpiecznej podróży!

Wzruszenie Cecylii było tak wielkie, że opuściły ją siły i na pół nieprzytomna osunęła się w ramiona Filipa.

Z długiej gęstwi czarnych jodeł wydobywał się na mroźną równinę zmieszany gwar. Był to chór głosów ludzkich, podobny do wycia wilków i ujadania psów. Horda Eskimosów polowała na dzikie zwierzęta, otaczając je dokoła. Rozległ się strzał, a po nim bezładna strzelanina. Potem znów zapadło milczenie.

Filip usadowił Cecylię na saniach i pognał psy w kierunku chaty i lasu, do którego wkrótce dojechał. Cecylia gwałtownie wyskoczyła na ziemię.

Chata była zamknięta i nie dochodził z niej żaden szmer. Tylko dym zdradzał życie. Niespokojna i nerwowa Cecylia kołatała do drzwi małymi swoimi piąstkami, wołając kogoś w swojej dziwnej gwarze. Filip, który stał koło niej, usłyszał niewyraźny szelest za drewnianymi ścianami, trzask odsuwanej zasuwki oraz głuchy i stłumiony głos mężczyzny, któremu odpowiedział przejmujący krzyk młodej kobiety.

Drzwi otworzyły się i ukazał się starzec z siwą brodą i siwymi włosami, wyciągając ku Cecylii swoje ramiona.

Filip przypatrywał się w milczeniu tej scenie, gdy drugi krzyk, który rozległ się za nim, zmusił go do odwrócenia się. Z lasu wybiegła druga postać mężczyzny i pędem zdążała do chaty. Filip poznał natychmiast białego człowieka i wyszedł naprzeciw niego z rewolwerem w ręce. Obaj znaleźli się naprzeciw siebie twarzą w twarz.

Nieznajomy był niemal średniego wzrostu. Miał długie, rude włosy, spadające dokoła jego twarzy. Głowę miał odkrytą, a twarz jego zalana była krwią. Kiedy patrzał na Filipa oczy wychodziły mu z orbit. Zdumiony Filip opuścił rewolwer niemal na ziemię i szepnął z niedowierzaniem:

— Na Boga! Czy to ty Olafie Andersonie?

XXV.

Oblężenie chały.

Nie mniejsze było osłupienie grubego Szweda, który nie mógł wierzyć swoim oczom. Ale wkrótce w na pół dzikim jego wzroku zabłysł promień radości. Chwycił kurczowo rękę Filipa, dotykał się jego ciała, jak gdyby się chciał przekonać, czy go oczy nie mylą, a w końcu wybuchnął najkomiczniejszym śmiechem.

Tylko Olaf Anderson potrafił tak się śmiać i wykrzywiać twarz takim grymasem. Krew napłynęła mu do twarzy, wydętej dziwacznie. Był to specjalny jego nawyk, który bawił niezwykle jego kolegów z policji. I im bardziej było położenie tragiczne, tym więcej rumiana jego twarz wykrzywiała się tym śmiechem. Możnaby śmiało przypuszczać, że nawet w godzinie swojej śmierci Olaf nie zapomni tego grymasu.

— Przychodzi pan w porę — rzekł. — w sam czas!

I twarz jego wykrzywiła się jeszcze piękniejszym grymasem, podczas gdy ręka jego chciała uścisnąć rękę Filipa.

— Umarli wszyscy, prócz mnie. . . Calkins, Harris i mały Holender O'Flynn. Zamarzli i zesztywnieli już, mój dobry Filipie. Spodziewałem się, że kiedyś wyjdzie patrol na poszukiwanie mnie. Czekałem z niecierpliwością. Ile ma pan ludzi?

Spojrzał ku sankom i chacie, na zamarzniętą równinę. Wtedy radosny jego grymas zniknął, a zastąpił go szyderczy śmiech rozczarowania. Poznał zdumiewającą prawdę!

— Sam? — zapytał!

— Tak, sam, — odparł Filip, skinąwszy głową. — Jest ze mną tylko Cecylia Armin. Przyprowadziłem ją do ojca. Pewien hultaj, nazwiskiem Blake, znajduje się również w tych okolicach w towarzystwie zgrai Eskimosów. Dałem mu porządną nauczkę i zmyliłem chwilowo swój ślad. Ale spodziewam się, że wkrótce pokaże swój nos.

Olaf począł się śmiać.

— To zabawne, — rzekł. — Chwała Bogu! Przybędą, że tak powiem, najbliższym pociągiem. Podczas gdy połowa plemienia goniła za panem, druga połowa ścigała mnie. Ale najkomiczniejsze jest to, że pan przybywa sam. . .

Oczy jego spoczęły nagle na strzelbie i rewolwerze.

— Amunicja? — zapytał. — I ma pan może także żywność?

— Czterdzieści naboi, — odparł Filip. — Z tego część do rewolweru. A następnie mam wiele mięsa.

— A zatem wszystko składa się doskonale! — huknął Szwed. — Zamknijmy się w chacie i weźmy ze sobą psy. Prędzej!

Wystrzał, po którym od strony lasu gwizdnęła kula i przeleciała nad ich głowami, był komentarzem do słów Olafa Andersona.

Psy wprowadzono szybko do chaty, zabrano sanki, które z trudem przesunięto przez drzwi. W czasie tej czynności kilkanaście dalszych wystrzałów huknęło z daleka i jedna z kul, znalazłszy w drzewie chaty ciasną

szparę, przeleciała przez nią i wpadła z trzaskiem do wnętrza.

Podczas gdy Olaf zakładał drąg, zamykający drzwi, Filip udał się do Cecylii. Przybiegła do niego z oczyma błyszczącymi w pomroku chaty i zarzuciła mu ramiona na szyję. Szwed odwrócił się i spojrzał z osłupieniem, a nie mniej zdumiony był starzec z siwą brodą.

Cecylia ucałowała Filipa. Potem zwróciła się do swojego ojca i wypowiedziała kilka słów. A opuściwszy Filipa, zbliżyła się do starca. Olaf zrozumiał bez wątpienia, ponieważ westchnął głęboko.

— Co ona powiedziała? — zapytał Filip błagalnym tonem.

Olaf, który spoglądał teraz przez jakąś szparę w drzwiach i obserwował równinę, odparł:

— Powiedziała, że poślubi pana, jeśli kiedyś wydobędziemy się z tego piekła. Pan jest szczęśliwcem. Cecylia Armin poślubi takiego eleganckiego i dzielnego kawalera jak pan. To będzie niezwykle piękne, jeśli kiedyś nastąpi. . . Ale, prawdę mówiąc, wątpię o tym. Jeśli pan nie wierzy, niech pan spojrzy.

Filip spojrzał przez szparę. Za małą, białą płaszczyzną, która otaczała chatę, na brzegu lasu roiło się od Eskimosów. Było ich może pięćdziesięciu i zupełnie nie próbowali się ukrywać.

— Już czterdziesty dzień, — rzekł Olaf spokojnym i wyraźnym głosem, jak gdyby zdawał raport któremuś ze swoich przełożonych, — oblęgają nas w ten sposób. Kilkadziesiąt razy odparliśmy ich ataki. Zużyliśmy osiemdziesiąt naboi i dzieliliśmy się pozostałą żywnością. Przedwczoraj pozostały nam tylko trzy naboje. Wczoraj dzień upłynął spokojnie. Ponieważ nie mieliśmy już żywności i byliśmy skazani na śmierć, wyruszyłem dzisiaj rano na

poszukiwanie jakiegoś pokarmu. Napotkałem dwóch Eskimosów, którzy wieźli mięso renifera. Rozpocząłem z nimi walkę. Przybyli im na pomoc inni Eskimosi, a ja rozporządzałem tylko dwoma nabojami. W końcu pozostał mi tylko jeden. Domyślają się tego i oto dlaczego przybywają z taką zuchwałością. Mam strzelbę kalibru 35. A jaka jest pańska?

— Ten sam numer, — odparł Filip, który jął nabierać ochoty, przewidując wspaniałą bitwę. — Podzielimy naboje między siebie. Mam ich jeszcze dosyć. Należę do oddziału fortu Churchilla i opowiem panu krótko, w jaki sposób, dobrowolnie, dotarłem aż tutaj.

I obserwując równocześnie to, co się działo na dworze, opowiedział szybko Olafowi Andersonowi swoje spotkanie z Bramem Johnsonem i następne wydarzenia. Dręczyły go tysiączne pytania, dotyczące ojca Cecylii i Cecylii samej.

Ale Szwed, który przez inny otwór obserwował równinę ze strony przeciwległej lasowi, na której rozpościerała się lodowata powierzchnia rzeki Pokładów Miedzi, pociągnął go za ramię i dał mu znak, aby spojrzał.

Na drodze, którą przebył Filip, pojawiły się sanie, za którymi przybyły wkrótce drugie, trzecie i czwarte. Za saniami kroczyły postacie, odziane w futra.

— Blake i jego ludzie! — zawołał Filip.

Obojętna twarz Olafa Andersona, kontrastująca ze wzburzonymi rysami twarzy jego towarzysza, zasępiła się i zszarzała jak żelazo. Jego uśmiech nawet i grymas przetopiły się jakby w metal, a oczy jego połyskiwały zielonawym blaskiem. I on przygotowywał się do walki. Wyciągnął powoli ramię i okrągłym ruchem wskazał cztery ściany chaty.

— Oto jest nasza twierdza, — rzekł. — W każdej z tych ścian sporządziłem strzelnicę, aby móc strzelać we wszystkich kierunkach. Stary Armin nie może nam być chwilowo użyteczny, ponieważ mamy tylko dwie strzelby. Jeśli przyjdzie do walki wręcz, będzie walczył kijem. Ściany chaty są sporządzone z młodego drzewa, a grubość ich nie jest znaczna. Kule naszych nieprzyjaciół mogą je przebić. W tym tkwi niebezpieczeństwo. Trzeba się również liczyć z przebiegłością Blakea, który z pewnością będzie kierował walką. Na tego to łotra natknąłem się, gdy spotkałem po raz pierwszy Armina i jego towarzyszy . . .

Podczas tej rozmowy Cecylia stała obok swojego ojca i oboje słuchali, nic nie rozumiejąc. Schowawszy połowę swoich naboi do prawej kieszeni munduru Olafa, Filip zbliżył się do starca i pozdrowił go, wyciągnąwszy obie ręce. Cecylia uśmiechnęła się. Armin uścisnął jego ręce. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie.

Jeżeli włosy i broda ojca Cecylii były białe, jeśli ramiona jego były zgarbione, a ręce chude i długie, wzrok jego ukryty głęboko w oczodołach, nie postarzał się. Jak oczy sokoła wpatrywały się w Filipa i wnikały w głąb jego myśli, podczas gdy młody człowiek mówił głosem miłym i szybkim. Po Filipie począł mówić Armin i nagły rumieniec Cecylii był najlepszym wytłumaczeniem jego słów.

W czasie tego Olaf ładował swoją strzelbę. Powiedział kilka słów do Cecylii i do jej ojca. Potem zwrócił się do Filipa:

— Godzina zbliża się . . . Bądźmy gotowi!

Przywiązał silnie psy do jednego z kołów chaty, aby z przerażenia nie oszalały w czasie walki. Filip obserwował dalej.

Na dworze działy się rzeczy nowe. Eskimosi opuścili brzeg lasu i ruszyli naprzód.

Szli bez najmniejszego ładu, nie w zwartej masie, ale rozprószeni, rozstawieni na śniegu daleko od siebie, aby nie przedstawiać dogodnego celu dla strzałów. Celem ich był mały wzgórek, którego Filip dotychczas nie spostrzegł, utworzony z ziemi naniesionej przez wiatr między lasem a chatą.

Ruszają się, Olafie, — zawołał Filip. — Ludzie Blakea połączyli się z nimi. Jest ich cała armia.

Olaf spojrzał.

— Nie ma ich nawet stu, — odparł spokojnie. — Nie przerażaj się. Ale znajdują się w dostatecznej liczbie, aby wszystkie nasze strzały mogły trafić, gdy zejdą ze wzgórka, na który się teraz wspinają. Przedstawiają dla nas diabelnie dogodny cel do strzałów, zupełnie podobny do okoliczności wśród jakich padli Calkins, Harris i O'Flynn, gdy ja uciekłem wśród nocy. Wtedy wypłatali nam piekielnego i niespodziewanego figla... Tym razem my im odpłacimy.

Ale rozproszona linia małych, ruchomych sylwetek zatrzymała się za śnieżnym wzgórkiem i przestała się posuwać naprzód.

Olaf Anderson wydał pomruk niezadowolenia.

— Do licha, cóż to! Teraz oni bawią się w strategie. Zobaczymy, co zrobią. To pomysł Blakea!

Filip stał koło niego, ciała ich ocierały się.

— Słuchaj, Olafie, godzina, którą przeżywamy jest straszna. Czyż nigdy nie wydobędziemy się z tej piekielnej krainy? Chciałbym poznać niektóre rzeczy, zanim umrę. Wiesz, że kocham młodą kobietę, która jest tutaj. Obiecała mi, że wyjdzie za mnie za mąż. Ale prócz kilku słów, zupełnie nie znam jej języka. Kto ona jest? Skąd przyby-

wa? Co się jej wydarzyło? Dlaczego w chwili, gdy ją spotkałem, była w towarzystwie Brama Johnsona? Muszę się dowiedzieć od ciebie. Ponieważ rozmawiasz z nią, musisz o tym wiedzieć...

— Czynią istotnie przygotowania do walki, — przerwał mu Olaf, nie odpowiadając natychmiast na pytania Filipa. — Gotują jakiś diabelski plan. Spójrz na te formujące się grupki. Niektórzy idą z olbrzymimi pniami drzewa. Podczas gdy część pozostaje w ukryciu, za wzgórkiem, inni posuwają się ku chacie. Pnie drzewa posłużą im za tarany.

Urwał i westchnął głęboko. Potem ciągnął dalej:

— Calkins, Harris i O'Flynn zginęli podczas zasadzki, o której opowiem kiedyś, po zaciętej obronie. Przez siedm dni uciekałem przed hordą, która mnie ścigała i wpadłem na obóz, w którym przebywał Armin z córką i dwaj inni biali. Byli to Rosjanie. Dwaj Kogmollocy z zatoki Couronnement służyli im za przewodników. Szli na południe. Ale nazajutrz dognała nas zgraja małych demonów pod dowództwem Blakea i wzięła nas do niewoli. Niespodziewanym zupełnie zbiegiem okoliczności błąkający się Bram Johnson, przybyły Bóg wie skąd, zjawił się w owej chwili. Dla naszych Eskimosów Bram jest istotą nadprzyrodzoną, potwornym diabłem, a każdy z jego wilków wcielonym demonem. Łotrzy gotowali się do zabicia nas czterech, mnie i trzech mężczyzn, natomiast Blake zamierzał zabrać dziewczynę. Ale pędraków tych przeraził Bram Johnson, usiadłszy za nimi i przeszywając ich swoim wzrokiem. Wzrok jego sparaliżował ich ruchy. Aż do następnego dnia nic się nie stało. Bram wciąż nie odchodził. Zauważyłem, że znalazł na śniegu jeden z długich, złotych włosów Cecylii i przypatrywał mu się miłośnie. Widząc, że zbliżam się do niego, mruknął

gniewnie, jak dzikie zwierzę, sądząc, że chcę mu go zabrać. Wtedy przyszła mi do głowy genialna myśl. Poradziłem Cecylii, aby odcięła sama kosmyk swoich włosów i podarowała go Bramowi. Dała mu go własnoręcznie i szaleniec czuwał odtąd nad nią z wiernością psa. Próbowałem rozmawiać z nim, ale na próżno. Zdawało się, że nie rozumie, co do niego mówię. Wiedział tylko tyle, że gdy się oddali, zostaniemy wszyscy wymordowani.

Szwed przerwał na chwilę swoje opowiadanie i spojrzał mechanicznie przez wąski otwór.

— Skończyli kombinować swój atak, — rzekł. — Ci, którzy niosą pnie drzewa, wypoczęli trochę i ruszają dalej. Teraz baczność, Filipie! Zaczniemy strzelać, gdy znajdą się w połowie drogi do chaty. Ale nie pierwej. To będzie pewniejsze . . . Wracam do mojej historii. Upłynęło kilka dni. Bram i jego wilki oddalili się na polowanie. W czasie jego nieobecności Blake i Eskimosi zaatakowali nas. Dwaj Rosjanie padli. Armin i ja walczyliśmy rozpaczliwie, mając z sobą młodą dziewczynę, gdy nagle zjawił się niespodzianie Bram. Nie walczył wcale, ale zadowolił się porwaniem dziewczyny, którą wsadził na swoje sanki i znikł z nią w szalonym galopie swoich wilków. Skorzystawszy z chwilowego zamieszania wśród Kogmolloków, próbowaliśmy uciec ze starcem. Ale nie ubiegliśmy daleko. Jakiś szczęśliwy los zaprowadził nas do tej chaty. Zamknęliśmy się tutaj i przez czterdzieści dni i nocy. . .

Słowa Olafa przerwał wystrzał strzelby Olafa. Strzał był celny i jeden z Eskimosów wywrócił kozła na śniegu.

XXVI.

Hołd Brama dla księżniczki.

W kilka chwil później, Filip oddał swój strzał do najbardziej zbliżonej grupki. Dym przyćmił wąską strzelnicę. Kiedy się rozwiał, Filip zobaczył, że strzał był celny i że druga czarna postać leżała na śniegu.

— Świetnie! — mruknął Olaf.

Szło naprzód pięć grupek Eskimosów, niosąc w rękach pnie drzewa. Dwaj obrońcy jęli znów strzelać w pierwszą grupkę i czterech Eskimosów zwaliło się na ziemię. Dwaj pozostali porzucili swoje pnie.

Filip naładował broń i w owej chwili zobaczył, że Cecylia stała koło niego. Przyłożyła oko do otworu i przyglądała się walce. W ostatnim akcie rozgrywającej się tragedii zaczęła okazywać odwagę, a rumiane, wpółotwarte jej usta, za którymi połyskiwał rząd lśniąco białych zębów, zdawały się przyrzekać jej obrońcy wspaniałą nagrodę po odniesionym zwycięstwie.

Rozległ się głos Szweda:

— Było ich sześć. Inni cofnęli się i ukryli za pagórkiem. Będą strzelać do nas salwami. Baczność!

Filip dał znak Cecylii, że trzeba stanąć przy ścianie przeciwległej, ponieważ przy gwałtownej strzelaninie Eskimosów kule mogą przebić ściany chaty. Ustawił ją koło nagromadzonego zapasu drzewa, podobnie jak starego Armina, który czuwał przy drzwiach z kijem w ręce.

W chwilę potem lunął grad kul. Pit! pit! pit! Regularny świst uderzył o ścianę chaty.

Jedna z kul przebiła drzwi i rozprysnęła się koło drzewa, o kilka cali od twarzy Cecylii. Potem świsnęła druga i trzecia, musnąwszy policzek Filipa. Trafiła jednego z psów, który zawył boleśnie i jął się szamotać wśród przerażonych towarzyszy.

Teraz Olaf Anderson nie śmiał się więcej. Twarz jego stała się dzika.

— Pochylcie się! — wrzasnął. — Pochylcie się! Słyszycie . . .

I sam uklęknął. Potem powtórzył po rosyjsku swoje ostrzeżenie Cecylii i Arminowi:

— Mają tyle kul, że mogą zmienić tę chałupę w sito! Dolne belki są grubsze i silniejsze. Połóżcie się na brzuchu, póki nie zaprzestaną strzelać. Patrzcie na mnie.

I rozłożył się na podłodze w całej długości, nogami do ściany, a głową ku środkowi chaty.

Miast się położyć natychmiast, jak polecił Szwed, Filip chciał zbliżyć się do Cecylii. Druga kula oderwała kawałek materii z kołnierza jego kaftana.

Położył się na podłodze tuż obok Cecylii, oddzielając ją swoim ciałem od ognia.

Ołów, przebijając jodły, padał jak rzęsisty deszcz. Niektóre z kul, osłabione w locie, padały jak martwe na podłogę. Ale inne siekły bezlitośnie wszystkie napotkane przedmioty.

— Spłaszczcie się! — krzyczał Olaf Anderson. — Chroni nas tylko ostatni dolny rząd belek . . .

Drugi pies zawył boleśnie. Kula trafiła go w głowę. Podskoczył i padł nieżywy.

Filip ściskał Cecylię mocno w swych ramionach. Czy to koniec? Usta ich złączyły się. Co? Tu będzie ślubne ich

łoże? Pomyślał, że dzięki osłonie, jaką tworzyło dla niej jego ciało, zginie pierwszy. I jeśli wtedy Blake, przypadkiem czy też z rozmysłu, kaze zaprzestać ognia, ona wpadnie w jego ręce . . . Och, to byłoby potworne!

Powoli strzelanina ustawała.

Czyżby Eskimosom zabrakło amunicji? A może to tylko zwyczajny odpoczynek? A może myślą, że przeciwnicy ich są niezdolni do walki i przygotowują się do gromadnego ataku na chatę.

Po kilku minutach Olaf wstał, to samo uczynił Filip, chcąc się przekonać co zaszło, gdy nagle rozległ się dziwny krzyk. Głos, który zadźwięczał jak grom, był dobrze wszystkim znany.

— Mocny Boże! — zauważył Szwed, — to jest sam Bram Johnson!

Bram Johnson! Usłyszawszy to Cecylia wstała również. Podobnie uczynił Armin. Przez otwory, wybite przez kule, czterej oblężeni zobaczyli człowieka-zwierzę, wychodzącego z lasu ze swoimi wilkami. Bram i jego wilki! To był istotnie on!

Zgraja strasznych zwierząt rozprószyła się na białym śniegu na kształt wachlarza. Za nią pędził kolos, groźny i potworny, dzierżąc jak zwyczajnie w ręce swój olbrzymi kij. Nadchodził z przeciwnej strony i atakował Eskimosów.

I Kogmollokowie zobaczyli Brama. Porażeni strachem przed wyjącym szaleńcem, który poganiał swoją dziką zgraję, nie podnieśli przeciw niemu ani jednej strzelby, nie dali do niego ani jednego strzału. Ale gdy przeminęła pierwsza chwila osłupienia, jęli uciekać we wszystkich kierunkach, jak gdyby gonił za nimi sam diabeł z wszystkimi demonami.

Już wilki dopadły ich, podżegane przeraźliwym krzykiem swojego pana i spędziły w kierunku niego. Wtedy Bram jął siec ich bezlitośnie swoim kijem i zabił z nich trzy czwarte.

Olaf Anderson odsunął drąg, zamykający drzwi chaty i otworzył je. Razem z Filipem rzucił się na uciekających Eskimosów, strzelając do nich i zabijając tych, którzy wymknęli się Bramowi Johnsonowi. Wystrzały i zapach prochu podsyciły jeszcze zaciekłość szaleńca i jego wilków, rozszalałych żądzą krwi. Na próżno mali ciemnoskórcy błagali o litość. Krzyk ich zamierał w rzężeniu agonii. Wkrótce ostatni żywy Eskimos zniknął w lesie, gdzie wpadł ze swoimi wilkami Bram, nieznużony w pościgu.

Z dymiącą i pustą strzelbą w rękach zwrócił się Filip do swojego towarzysza. Wesoły i komiczny grymas pojawił się znowu na twarzy Olafa, jakkolwiek stał jeszcze cały drżący.

— Nie będziemy ich ścigać — rzekł, usiadłszy na jednym z pniów drzewa, porzuconych przez Eskimosów, i otarłszy sobie czoło. — Bram i jego wilki wystarczą do zupełnej ich klęski. Sądzę, że po ukończeniu pracy wróci do nas... A teraz myślę, że powinniśmy poczynić przygotowania do powrotu. Co myślisz o tym? Co do mnie, mam dosyć tej chaty. Siedziałem w niej zamknięty przez czterdzieści dni i nocy! Pfe! Nie chcę więcej. Czy masz trochę tytoniu do mojej fajki?... Zapalę ją i opowiem ci dalszy ciąg przerwanej historii, która cię tak interesuje. Powiedziałem więc, że księżniczka Cecylia i jej ojciec...

— Księ... Księ... Co?

— Proszę cię, daj mi tytoń.

Filip podał swój kapciuch Szwedowi, który napchał swoją fajkę i ciągnął dalej:

— Cecylia jest z pochodzenia Dunką. Kiedy była jeszcze bardzo młoda, matka jej, która wyszła za mąż w Rosji, za autentycznego księcia, umarła. Mieszkała razem z ojcem, który ją wychowywał. Było to za czasów cara Mi-

kołaja II. Wskutek intryg dworskich, zresztą obojętnych, w które wmieszany był słynny mnich Rasputin, Armina aresztowano i osadzono w twierdzy św. Piotra i Pawła w Petersburgu. Zamknięto go tam w podziemnej celi, pozbawionej wszelkich wygód. Nad celą przepływała Newa. Kiedy w końcu nieprzyjaciele jego podzielili się jego dobrami i milionami, wysłano go na sam kraniec Syberii, od strony Kamczatki. Oddani przyjaciele i krewni, którzy uciekli do Londynu, zajęli się małą Cecylią. Z chwilą wybuchu rewolucji i po zamordowaniu Rasputina, wygnańcy ci wynajęli okręt i wziąwszy ze sobą młodą księżniczkę, postanowili uwolnić więźnia i zabrać go z sobą do Europy. Wszystko odbyło się bez przeszkód. Okręt popłynął przez Morze Śródziemne, Kanał Suezki i Ocean Indyjski i dotarł do Morza Chińskiego. Armina znaleziono, postarzał się przedwcześnie, ale był żywy. Aby skrócić drogę powrotną, pewien sternik amerykański zaproponował Rosjanom, że opłynie Amerykę północną przez Cieśninę Behringa i Morze Lodowate. Przedsięwzięcie nie udało się i okręt został osaczony przez lodowce w zatoce Couronnement. Opuszczono go więc i ruszono w drogę z psami i saniami, pod przewodnictwem Eskimosów. Resztę znasz nieco. Z wrogimi plemionami musiano staczać walki. Prawie wszyscy Rosjanie zostali kolejno wybici. Kiedy nauczysz się, mój stary, języka księżniczki Cecylii, opowie ci sama szczegóły. Teraz, jeśli cię poślubi, musi pokochać Amerykę.

Kiedy Olaf skończył, nadeszła lady Cecylia. Objęła Filipa ramieniem za szyję, po raz pierwszy bez grozy niebezpieczeństwa. Wrogi los ustępował.

. . . .

Było to nazajutrz około wieczora, kiedy sanie jechały z powrotem lodowatą drogą rzeki Pokładów Miedzi, gdy nagle mała karawana usłyszała z daleka ujadanie wil-

ków Brama Johnsona. Ujadanie to huczało jak szum morza, a potem ucichło.

Kiedy zapadły ciemności rozbito obóz. Każdy był znużony. Olaf Anderson, otulony w futro, zabrane Eskimosom na polu walki, pełnił przez całą noc straż. Dwukrotnie jeszcze słyszano dziwny hałas, w którym głos człowieka mieszał się ze skowytem wilków.

Jechał dalej przez cały następny dzień w kierunku południowo-zachodnim, bez żadnego wydarzenia. Wieczorem obozowano na brzegu lasku, gdzie było pod dostatkiem suchych gałęzi i rozpalono wspaniały ogień, który oświecał z daleka biel Barrenu. . .

Owego to wieczoru pojawił się nagle Bram Johnson, majestatyczny i milczący. Jakkolwiek wszyscy spodziewali się jego przybycia, przybył tak niespodzianie, że Olaf i Filip, a nawet Cecylia i jej ojciec drgnęli z przerażenia.

W prawej ręce trzymał człowiek-wilk dziwny przedmiot, grubości kamienia brukowego, owinięty w futro Eskimosa, zamieniony na worek.

Bram zdawał się nie zważać na nikogo, prócz Cecylii. Stojąc przy blasku ognia patrzał tylko na nią. Zbliżył się do niej i mruknąwszy coś niewyraźnie złożył paczkę u jej stóp. Po chwili zniknął.

Szwed wstał, podniósł podarunek szaleńca i otworzył worek. Filip ujrzał, że brwi jego zmarszczyły się. Potem Olaf odszedł w kierunku jodeł i wrócił za chwilę z próżnymi rękami. Śmiejąc się, powiedział do Cecylii kilka słów.

Potem wziął na bok Filipa i rzekł:

— Powiedziałem, że to był kawał mrożonego mięsa, który ofiarował jej Bram. Nie trzeba jej mówić prawdy! W rzeczywistości była to odcięta głowa Blakea, którą złożył jej w hołdzie. Wiesz, że wśród Kogmolloków

rozpowszechniony jest bardzo ten zwyczaj ofiarowywania osobom kochanym głowy swoich śmiertelnych nieprzyjaciół. Więc po cóż miała zazierać do worka, nieprawdaż?

. . . .

. . . .

W raportach archiwum Królewskiej Policji Northlandu znajdują się osobliwe historie. Starannie przechowywana jest między innymi historia półobłąkańca Brama Johnsona. Wielka okładka zawiera wszystkie urzędowe akta tej sprawy. A więc najpierw znajduje się krótki raport dzielnego i wiernego kaprala Olafa Andersona z fortu Churchilla. Potem następuje bardziej szczegółowe zeznanie, podpisane przez pana i panią Brant, oraz przez ojca lady. Do tych dwóch dokumentów załączony jest egzemplarz oficjalnego ułaskawienia Brama Johnsona, wywyższający dawnego skazańca do rangi pupila Rządu Kanadyjskiego.

Policjanci, polujący z obowiązku na ludzi, są proszeni o pozostawienie go odtąd w spokoju. Wezwanie brzmi: „Brama Johnsona pozostawić w spokoju". Rozporządzenie to jest rozumne i ludzkie.

Dziki kraj, po którym wałęsa się Bram, jest olbrzymi, więc w towarzystwie swoich wilków poluje on dalej przy bladym świetle księżyca i złotym poblasku gwiazd.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW